

KIERAT - ambasador Ziemi Limanowskiej



Fot. S. Ociepka

**Szacunek dla przeszłości
- Stanisław Alojzy Nowak**

Koleją Transwersalną do...?

**Za krąg polarny na
"łupinkach" ze sklejki**

**One World - One Kyokushin
- jeden świat - jedno karate**

**Starosta limanowski w nowo tworzonej
Polsce - Zbigniew Fleszar**

**Był wierny Kresowej Ojczyźnie
- Stanisław Trojanowski**

**Wspomnienia
o Władysławie Wietrznym**

Powracająca Żmiąca



W dniach 27 kwietnia - 4 maja br. Franciszek Dziedzina, wicestarosta limanowski, złożył hołd **Stanisławowi Alojzemu Nowakowi**, ostatniemu staroście limanowskiemu II Rzeczypospolitej na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni na Ukrainie.



Szacunek dla przeszłości



Franciszek Dziedzina zapala zniczek przy tablicy epitafijnej Stanisława Alojzego Nowaka.

Współczesne władze samorządowe powiatu limanowskiego, rozwiązując szereg bieżących problemów mieszkańców Ziemi Limanowskiej, nie zapominają o historii naszego regionu, wyrażając poszanowanie dla ludzi pracujących w przeszłości dla tej Ziemi.

W dniach 27. 04 – 4. 05 br. Franciszek Dziedzina, wicestarosta limanowski, złożył hołd ostatniemu staroście limanowskiemu II Rzeczypospolitej zamordowanemu przez sowieckie NKWD.

W tych dniach w ramach pielgrzymki na Kresy Wschodnie przebywał na Ukrainie. W programie pobytu przewidziano m. in. zwiedzanie Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni na Ukrainie (czwartego Cmentarza Katyńskiego), który odsłonięty został przez prezydentów Polski i Ukrainy 21 września 2012 r.

Wśród 210 mogił na terenie Bykowni w pobliżu Kijowa, 70 z nich to wyłącznie polskie jamy grobowe. Prawie 2 tys. osób zamordowanych w zbrodni katyńskiej pochowanych w Bykowni to największa część osób z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej zawierającej 3435 imion i nazwisk polskich obywateli, wśród których znajduje się Stanisław Alojzy Nowak, starosta limanowski w latach 1937 – 1939, zamordowany przez władze sowieckiej Rosji. Pisałem o tym w „Echu Limanowskim” (nr 220-221, styczeń–luty 2013r.) w artykule: „Dzwon pamięci uderzył poraz pierwszy”. Przedstawiłem również postać Stani-

śława Nowaka i jego tragiczne losy w kolejnym numerze „EL” w artykule „Dr Stanisław Alojzy Nowak – ostatni starosta limanowski w II Rzeczypospolitej”.

W dniu 1 maja br., na Polskim Cmentarzu Wojennym w Bykowni na Ukrainie została odprawiona Msza św. za pomordowanych, w tym także w intencji starosty limanowskiego Stanisława Alojzego Nowaka. Po zakończeniu Mszy św., Franciszek Dziedzina, wicestarosta limanowski, odczytał apel poległych, upamiętniając tym samym 73. rocznicę tej straszliwej zbrodni.

Na grobach pomordowanych złożono wieńce, a w alei z tablicami epitafijnymi przy tablicy Stanisława Alojzego Nowaka, Franciszek Dziedzina zapalił zniczek.

Pielgrzymka ta symbolicznie wpisuje się jakby w „przeddzień” odsłonięcia tablicy upamiętniającej postać Stanisława Nowaka, która w najbliższym czasie ma być wmurowana na budynku Starostwa Powiatowego w Limanowej podczas uroczystego jej odsłonięcia.

Inicjatywę uchwałodawczą w tej sprawie złożył wiceprzewodniczący Rady Powiatu Marek Czeczotka, pełniący zarazem funkcję prezesa Stowarzyszenia „Związek Limanowian”, wydawcy „Echa Limanowskiego” – dwumiesięcznika, na łamach którego ukazały się dwa artykuły o Stanisławie Nowaku, opracowane w oparciu o materiały przekazane redakcji przez córkę starosty Barbarę Szweczyk (Harassek) oraz jego wnuka Andrzeja Harasska.

*Gdy gaśnie pamięć ludzka,
dalej mówią kamienie.*

Stefan Wyszyński

W konsekwencji dokonanej przez Zarząd Powiatu dwukrotnej analizy złożonego wniosku za pośrednictwem Komisji Kultury, Sportu i Turystyki Rady Powiatu oraz zgromadzonych w tej sprawie dokumentów, 21 maja 2013 roku Rada Powiatu Limanowskiego przyjęła uchwałę postanawiającą uhonorować tablicą pamiątkową ostatniego starostę limanowskiego II Rzeczypospolitej, dr. praw Stanisława Alojzego Nowaka. Projekt tablicy pamiątkowej został uzgodniony z rodziną.

Projekt tablicy: Po stronie lewej górnej części tablicy widnieje herb Starostwa Limanowej; po prawej cytat Jana Pawła II, o treści: *Pewne prawdy jakoś nie mijają, powracają do ludzi wciąż.*

Pośrodku: **Pamięci – dr. praw STANISŁAWA ALOJZEGO NOWAKA 1894–1940, Ofiary Zbrodni Katyńskiej, Ostatniego Starosty Limanowskiego II Rzeczypospolitej 1937–1939.**

W części dolnej tablicy z lewej: data wmurowania tablicy, po prawej napis: Samorząd Powiatu Limanowskiego.

Miejmy nadzieję, że podjęta inicjatywa upamiętnienia postaci Stanisława Alojzego Nowaka, ostatniego starosty limanowskiego zamordowanego w 1940 roku przez NKWD, stanie się przykładem wyrażania pamięci o ludziach i tragicznych wydarzeniach, które miały miejsce w Limanowej w najnowszej historii naszego narodu. *Nie, co minionie, nie jest przeszłością ostatecznie zamkniętą. Przeszłość trwa w teraźniejszości, uczestniczy też w kształtowaniu przyszłości* – Ryszard Kapuściński.

Dlatego wypada podjąć działania związane z uwiecznieniem miejsc tragicznych wydarzeń, zarówno w okresie okupacji, jak również w czasach tworzenia państwa polskiego, stosownymi tablicami pamiątkowymi.

W Limanowej w tej kwestii jest wiele do zrobienia.

Fotografie: arch. Starostwa Powiatowego w Limanowej

KIERAT - ambasador Ziemi Limanowskiej

Stanisław Ociepka

Pomysł zorganizowania pieszego górskiego maratonu, na dystansie 100 km nieprzerwanej wędrówki po górach Beskidu Wyspowego i Gorców, zrodził się w 2003 roku. Twórcą jego jest miłośnik gór, zauroczony tym rejonem Polski, Andrzej Sochoń z Warszawy. Na stronie internetowej „Kieratu” tak wspomina początki: *Nazwa maratonu nie przyszła mi do głowy przypadkiem. Pierwsze moje spotkanie z Beskidem Wyspowym miało miejsce w latach sześćdziesiątych minionego stulecia. Wiele wsi nie posiadało jeszcze wtedy elektryczności i kierat do napędu maszyn gospodarskich można było spotkać na każdym niemal podwórku. Do maratonu, podczas którego piechurzy będą wędrować wokół Limanowej, nazwa ta pasowała jak ulał.*

Pięć lat temu (na półmetku obecnego jubileuszu) prof. Andrzej Kulig, limanowianin z urodzenia, dziś Prodziekan ds. Ogólnych Nauk na Wydziale Inżynierii Środowiskowej Politechniki Warszawskiej, znany Czytelnikom „Echa” z wielu wspinających wspomnień z własnych podróży, prezentowanych na łamach dwumiesięcznika w cyklu artykułów „Podróże małe, podróże duże” w szkicu pt. „Okiem kibica i nie tylko” („EL” nr 166–167, lipiec–sierpień 2008r.) napisał m. in.: *Andrzej Sochoń jest związany z Ziemią Limanowską „od zawsze”. Jego wspomnienia sięgają 1966 roku, kiedy to wraz z rodzicami pojawił się na wakacjach w miejscowości Krosna koło Ujanowic. Następnie przez kilkanaście lat przyjeżdżał do tej miejscowości i wędrował po okolicznych górach. Wycieczki na Jaworz, Kamionną, Mogielicę, Śnieżnicę czy Ćwilin były niemal obowiązkowym rytuałem każdych wakacji. O tym, że były to lata szczęśliwe, świadczy sentyment, z jakim powracają wspomnienia (...). Również przypadkowo w latach następnych wysiadł w Chabówce, następnie dojechał do przystanku kolejowego Marki w Mszanie Dolnej. I tutaj spędzał wakacje z rodziną przez następne lata.*

Andrzej Piławski, właściciel limanowskiego biura turystycznego „Lima-tur” uzupełnia: *Kiedy dziesięć lat temu Andrzej Sochoń złożył ofertę organizacji górskiego maratonu na dystansie 100km, jedynie moje biuro turystyczne odpowiedziało pozytywnie na tą propozycję. Uznałem wówczas, że inicjatywa jest oryginalna i zapewne*

dobrze przysłuży się promocji turystycznej Ziemi Limanowskiej. Od tej pory rozpoczęła się owocna współpraca, która trwa po dzień dzisiejszy. Moje biuro jest głównym organizatorem maratonu, trasę wyznacza Andrzej Sochoń z Warszawy, współpracując z Tomaszem Baranowskim z Gdyni, który jest prawą ręką głównego animatora maratonu.

Jest to jedna z nielicznych imprez turystycznych, a może jedyna w Limanowej o takim szerokim zasięgu ogólnopolskim, promująca walory Ziemi Limanowskiej. Wystarczy tylko przeglądnąć listy startujących zawodników, którzy do na-



Andrzej Sochoń rozpoczyna na limanowskim rynku X Jubileuszowy Maraton Pieszy KIERAT.

szego miasta zjeżdżają od Olsztyna po Zakopane, od Szczecina i Gdańska po Rzeszów i Sanok, od Wrocławia, Katowic, Poznania, Łodzi, Warszawy po Hru-



X Jubileuszowy Międzynarodowy Ekstremalny Maraton Pieszy KIERAT 2013.

bieszów i Żagań itd. W ostatnich latach spora liczba młodych ludzi uczestniczących w maratonie przyjeżdża do Limanowej z osobami towarzyszącymi. Tak więc można przyjąć, że w te trzy dni majowe odwiedza nas około 1500 osób. To sporo. Jeśli jeszcze przyjmiemy, że nasi goście z pobytu w Limanowej odbiorą pozytywne wrażenia, to zapewne tu wrócą. Co więcej rozjadą się po Polsce i przekażą informację innym, mówiąc że warto przyjeżdżać w Beskid Wyspowy i Gorce.

To niesamowite, aby nieliczna grupa miłośników gór, prowadząc konsekwentnie i skutecznie organizację limanowskiego maratonu przez dziewięć lat, który z roku na rok dynamicznie się rozwija, doprowadziła do wspaniałej promocji naszej Ziemi Limanowskiej (przemawiają za tym dane statystyczne prezentowane po niżej).

W „Echu Limanowskim” wielokrotnie pisaliśmy o tym ciekawym święcie ekstremalnego wyczynu, który od 2011 roku ma rangę Mistrzostw Polski w Pieszych Maratonach na Orientację. W tym jubileuszowym roku przybliżymy, jak przez te 10 lat limanowski Ekstremalny (dziś Międzynarodowy) Maraton Pieszy „KIERAT”, dynamicznie się rozwijał. Postanowiliśmy więc Czytelnikom „EL” przedstawić kalendarium wydarzeń, w którym przypomnimy: trasy kolejnych maratonów, zwycięzców w poszczególnych latach oraz przedstawimy ciekawe dane staty-

styczne. Wspomnienia zakończymy przywołaniem fragmentów artykułu Tomasza Kowalskiego. Uczestniczył On w „Kieracie” w 2011 roku, przyjeżdżając do Limanowej z Poznania. W ten skromny sposób pragniemy wyrazić uznanie dla Jego osiągnięć w wyprawie „**Pierwszego zimowego wejścia na Broad Peak**” – (8047m n.p.m.), która była jego ostatnim wyczynem. Został w górach, które ukochał nad życie, wraz z przyjacielem Maciejem Berbeką z Zakopanego, który był mocno związany z Mszaną Dolną, gdzie mieszkał jego ojciec, Krzysztof.

Limanowski Maraton Pieszy KIERAT w każdym roku organizowany jest w miesiącu maju. W ciągu 30 godzin bez względu na pogodę należy pokonać dystans 100km i 3600 m podejść po górach powiatu limanowskiego. Start i meta maratonu jest w Limanowej, a trasa przebiega przez malownicze tereny Beskidu Wyspowego i Gorce, obejmuje zasięgiem masywy górskie wokół Limanowej. W każdym roku układ trasy jest inny. Projekt tras maratonu przygotowuje Andrzej Sochoń przy współpracy z Tomaszem Baranowskim. Na trasie znajdują się punkty kontrolne, zlokalizowane w charakterystycznych miejscach i oznakowane w terenie. Każdy zawodnik zobowiązany jest potwierdzić obecność w punkcie kontrolnym poprzez perforację karty startowej oraz odnotowanie czasu w karcie sędziowskiej. Kolejność zaliczania

punktów jest obowiązkowa. Trasę pomiędzy punktami kontrolnymi uczestnicy wybierają samodzielnie.

I Limanowski Maraton Pieszy KIERAT 2004, przebiegał trasą: Limanowa-Paproć – Tymbark – Pasierbiec (Sanktuarium M.B. Pocieszenia) – Kamionna – Rozdziele (Bacówka „Nad Wilczym Rynkiem”) - Kobyła (cmentarz nr 300) – Iwkowa (pustelnia św. Urbana) – Krosna (kaplica „Grota”) - Jaworz (jaskinia „Zbójcka”) – Łyżka- Stara Wieś (OW „Pod Ostrą”) – Słopnice Podgórze – Limanowa. W maratonie uczestniczyło 18 osób, 17 mężczyzn i jedna kobieta *Krystyna Mokrzycka* z Wrocławia, która dystans 82km przebyła w 27h i 40 min. Do mety dotarło (czyli przebyło 100km w wyznaczonym limicie 30godz.) 5 zawodników. Pierwszy maraton wygrali: *Jerzy Kryjomski* z Chrzanowa i *Krzysztof Dołęgowski* z Warszawy w 16 h i 25 min.

II Limanowski Maraton Pieszy KIERAT 2005, prowadził przez: Łopień – Przełęcz Marszałka Rydza-Śmigłego – Mogielicę – Polanę Skalne pod Jasieniem – Mszaną Górą – Potaczkową- osiedle Bóldony w Mszanie Dolnej – Ogorzałę - Polanę Michurową pod Ćwilinem – Jurków – dolinę potoku Mogielica – Przełęcz Słopnicką – cmentarz pod Golcowem - wzgórze Jabłoniec do Limanowej. W maratonie brało udział 148 zawodników w tym 22 kobiety, z których do mety dotarło, pokonując trudną trasę w strugach deszczu, 29 uczestników, w tym 3 kobiety. Maraton wygrali *Marta Kaszałowicz* z Mrągowa w 26h i 59 min oraz *Tomasz Koguciuk* z Chełmna w 15h i 26 min.

III Limanowski Maraton Pieszy KIERAT 2006, wiódł z Limanowej na Miejską Górę do Laskowej, na Jastrząbkę, do Bacówki „Nad Wilczym Rynkiem”, Kostrzę, na górę Dział, do Porąbki, pod Śnieżnicę, do Wilczyc na Polanę Wiatrówki, do Szczawy, Starej Wsi do mety w Limanowej. Tym razem pogoda dopisała, można było podziwiać cały Beskid Wyspowy, bowiem trasa była mocno widowkowa. W maratonie uczestniczyło 187 zawodników, w tym 28 kobiet. Najszybsza spośród kobiet okazała się *Magda Horova* z Pragi, 100km przebyła w 17 godzin i 40 minut, zaś spośród mężczyzn najlepszy był *Paweł Dybek* z Mielca, który trasę maratonu pokonał w czasie 13 godzin 52 minut. Całą trasę maratonu przeszło 84 zawodników, w tym 8 kobiet. ▶



► **IV Limanowski Maraton Pieszy KIE-RAT 2007** przemierzał przez tereny bardziej górzyste: z Limanowej na Paproć do mostu na potoku Bednarki, z Rupiowa Bednarek do Sadku i Pustelni w Pogorzanach, dalej na Księżą Górę, następnie do Wiśniowej, z Wiśniowej pod Lubomir i do bazy pod Lubogoszczą, do Morskiego Oka i na wschodni szczyt Śnieżnicy, na Łopień, do Słopnic Zarąbki, Modyń, Kłoczyk do Siekierzyny i Limanowej. W maratonie wystartowało 217 zawodników, 28 kobiet i 189 mężczyzn. Do mety w Limanowej dotarło 59 uczestników, w tym 10 kobiet. Po raz drugi pierwsza z kobiet do mety dotarła *Magda Horova* z Pragi w czasie 21h i 01 min. Spośród mężczyzn najlepsi okazali się: *Maciej Dubaj* z Krakowa i *Marcin Krasuski* z Warszawy. Użytkali oni czas 17 godzin i 45 min.



V Limanowski Maraton Pieszy KIE-RAT 2008, jubileuszowy, szedł przez tereny Gorczańskiego Parku Narodowego. Rozpoczął się tradycyjnie w Limanowej i wiódł w kierunku ścieżki przyrodniczej „Ostra”, do mostu na Szczawskim Potoku, do Zajazdu „Głębieńiec” w Szczawie, na Polanę Trusiówka, na Turbacz. Z Turbacza zejście do „Orkanówki”, do doliny Wierzbienicy, Póhrzeczek, na Polanę Wały, Przełęcz Rydza – Śmigłego, przez Łopień, do kapliczki pod Stronią, do Pasierbca i Limanowej. Jubileuszowy maraton wygrał *Paweł Dybek* z Mielca w czasie 14 godzin i 4 minut. Było to drugie zwycięstwo mielczanina, który zwyciężył w III Maratonie w 2006 roku. Najlepsza spośród kobiet okazała się *Magda Horowa* z Republiki Czeskiej w czasie 19 godzin i 29 minut. Było to trzecie z kolei zwycięstwo. W jubileuszowym maratonie uczestniczyło 301 zawodników, 114 dotarło do mety, 105 mężczyzn i 9 kobiet.



VI Limanowski Maraton Pieszy KIE-RAT 2009 przemierzał Beskid Wyspowy z Limanowej do mostu nad Słopnicząnką w os. Sączek w Słopnicach do domku myśliwskiego na Środkowym Łopieniu, zejście do os. Łukaszkki w Dobrej, do przystanku kolejowego w Skrzydłnej i dalej do gospodarstwa pod Wierzbanowską Górą, do kapliczki św. Bernarda, jaskini Zimna Dziura, do Glisnego, Niedźwiedzia, Łętowego, na polanę Skalne pod Jasieniem, do Słopnic os. Zarąbki, do szkoły Słopnice – Granice i do Limanowej. Tym razem na Kierat przybyło 395 osób, by poddać próbie swoją wytrzyma-

łość, spośród nich 45 kobiet. Maraton ukończyło 212 zawodników, w tym 15 kobiet. Najszybszymi zawodnikami okazali się: *Krzysztof Dolegowski* z Warszawy i *Wojciech Łachut* z Mławy. Uzyskali oni czas 15 godzin i 8 minut. Po raz czwarty spośród kobiet zwyciężyła *Magda Horowa* - Republika Czeska uzyskując czas 19 godzin 31 minut.

VII Limanowski Maraton Pieszy KIE-RAT 2010, tym razem maraton w Beskidzie Wyspowym wyruszył na wschód. Z Limanowej na Łysą Górę, do zbiegu szlaków przy kościółku w Skrzętni – Rojówce, do łąki w osiedlu Kaczkówka, do

szkoły w Stroniu, na wschodni stok Kłoczyka, do boiska piłkarskiego Zalesianka, do siodła na szlaku konnym wiodącym przez Zbludzkie Wierchy, „Dworek Gorce” w Kamienicy, do bacówki na polanie Gorc Kamienicki, do zajazdu „Głębieńiec w Szczawie, przez osiedle Bukowina w Słopnicach Górnych, do ośrodka wypoczynkowego „Pod Ostrą”, w pobliżu osiedla Za Las w Siekierzynie i do Limanowej. W tej edycji maratonu wystartowało po raz pierwszy pół tysiąca osób - 503. Do mety dotarło 231 zawodników, w tym 14 kobiet. Zwycięzcami zostali: *Krzysztof Dolegowski* z Warszawy, *Maciej Dubaj*



(po raz drugi) z Krakowa i *Bartłomiej Juroszek* z Wisły. Wszyscy uzyskali czas 14 godzin 51 minut. Najlepszą z kobiet była *Katarzyna Porębska* ze Szczyrku, która do przejścia 100km potrzebowała 23 godzin 51 minut.

VIII Limanowski Maraton Pieszy KIERAT 2011 gościł w Limanowej rekordową do tej pory ilość zawodników – 578 osób, którzy zmagali się na trasie: z Limanowej przez Sałasz na cmentarz z I wojny światowej na Korabie, do kamieniołomu pod Pasierbiecką Górą, do Diabelskiego Kamienia, restauracji w zczyrzycu, do mostu kolejowego w Podłopieniu, szkoły w Słopnicach (Kukuczki), doliny potoku Mogielica, na polanę pod Kiczorą Kamienicką, do zajazdu „Głębieńiec” w Szczawie, pod Okowaniec, do gospodarstwa pod Ogrojcem i do Limanowej. Ta edycja KIERATU miała rangę Mistrzostw Polski w Pieszych Maratonach na Orientację. Zwycięzca *Maciej Więcek* z Krakowa pokonał trasę w rekordowo krótkim czasie 12 godzin 42 minut. Do mety dotarło 311 zawodników, w limicie 30 godzin zmieściło się 308 osób, w tym 32 kobiety. Najlepszy wynik osią-

gnęły *Justyna Frączek* z Krakowa i *Sabina Gielzak* z Łodzi – 16 godzin i 40 minut, jest to najlepszy czas jaki osiągnęły panie do tej pory w KIERACIE. W tej wersji limanowskiego maratonu uczestniczył *Tomasz Kowalski* z Poznania, późniejszy uczestnik pierwszej wyprawy „Zimowego wejścia na Broad Peak 2012/13” - zakończonej tragedią. Podczas Ekstremalnego Maratonu Pieszego w Limanowej uzyskał czas 18 godzin 4 minuty, zajmując 24. pozycję. Udział w limanowskim maratonie zapewne traktował jak znakomity trening do wysokogórskich wyczynów, które były Jego pasją.

IX Limanowski Maraton Pieszy KIERAT 2012 - Trasa ubiegłorocznego maratonu wiodła z Limanowej do Żmiącej do cmentarza na Jastrzabce, do Pasierbca, pod górę Wierzyki, do Porąbki, przez Kasinę Wielką, pod Cwilin, pod Dziurczak, do Cyrkowej Skałki, pod Kobylęcę, do Półrzeczek, do Słopnic i Starej Wsi z metą w Limanowej. W maratonie uczestniczyło 530 osób, w tym 54 kobiety. W kategorii pań zwyciężyła *Magda Horova* z Pragi (było to piąte zwycięstwo) z czasem 17 godzin 4 minuty, zaś w kategorii panów

wygrał *Maciej Dubaj* z Krakowa (trzęcie zwycięstwo) z rekordowym czasem dotychczasowych wszystkich edycji 11 godzin i 50 minut. Do mety w Limanowej dotarło 351 osób, w tym 28 pań. W limicie czasu 30 godzin zmieściło się 347 zawodników, cztery osoby przekroczyły ten limit, 2 panie i 2 panów.

Podsumowując dziewięć edycji limanowskiego maratonu należy uzmysłowić sobie, że w tej ogólnopolskiej imprezie turystycznego wyczynu we wszystkich wydaniach uczestniczyło 2877 osób, 2559 zawodników i 348 zawodniczek. Do mety dotarło 1396 osób, 119 pań i 1277 panów. Rekordzistami są *Piotr Gruszkowski* z Krakowa, uczestnik wszystkich dziewięciu maratonów. Trasę 882 km przebył w 230 godzin 30 minut, tylko w pierwszej edycji przebył 82 km. Z pań *Dorota Stefańska* z Istanbulu, 723 km przebyła w 200 godzin 24 minuty. Nie uczestniczyła w pierwszej edycji maratonu, zaś w siódmej przebyła jedynie 23 km.

X Limanowski Maraton Pieszy KIERAT 2013 – Jubileuszowy - rozpoczął się punktualnie o godzinie 18. Z limanowskiego rynku rekordowa ilość zawodników



„Kieratowicze” podążają w kierunku wzgórza Lipowe.

– 611 osób - wyruszyła w kierunku wzgórza Lipowe, aby podjąć trud walki na tegorocznej trasie maratonu, która przebiegała przez Słopnice – kapliczka po lipą, masyw Łopienia – domek myśliwski, Dobrą - stadion LKS „Dobrzanka”, Ćwilin – kapliczka z 1941 r., w kierunku Mszany Dolnej – wschodni brzeg Mszanki, stok Adamczykowej – rozwidlenie dróg, Glisne – wiata za kościołem, Luboń Wielki – wiata poniżej schroniska i Perć Borkowskiego do Raby Niżnej – kamieniołom i dalej przez Porębę Wielką – rozwidlenie dróg, Lubomierz, Polanę Wiatrówki – pole biwakowe, Szczawa Polanki, Wyrębiska Szczawskie - parking, w kierunku Starej Wsi – punkt ścieżki przyrodniczej, do mety w Limanowej przy LDK na „Siwym Brzegu”.

Na starcie jubileuszowego limanowskiego maratonu stanęło 611 zawodników, 547 mężczyzn i 64 kobiety, spośród których 387 dotarło do mety, przy czym w limicie 30 godzin zmieściło się 381 zawodników. Sześciu zawodników przekroczyło wyznaczony limit 30 godzin (pięciu mężczyzn i jedna kobieta). Przebieg maratonu nadzorowała na trasie ponad 40 – osobowa ekipa sędziowska złożona z wolontariuszy. Ogłoszenie wyników i wręczenie pucharów wyróżniającym się zawodnikom oraz medali wszystkim sklasyfikowanym uczestnikom jubileuszowego maratonu odbyło się w niedzielny poranek, 26 maja w sali LDK. Spotkanie rozpoczął Andrzej Sochoń, główny animator limanowskiego maratonu w Beskidzie Wyspowym, minutą ciszy dedykowaną pamięci Tomasza Kowalskiego, który tragicznie zginął w Himalajach.

Tegoroczny Ekstremalny Maraton Pieszy KIERAT wygrał *Maciej Więcek* (po raz drugi) z Krakowa, który na metę przybył o godzinie 6:59 w sobotę, pokonując 100km w czasie 12 godzin 59 minut. Drugim był *Krzysztof Dolegowski* z Warszawy, przegrywając jedynie o 5 minut (13 godzin 4 minuty), trzecim *Michał Jędruszkowiak* z Książa Wielkopolskiego (13 godzin 34 minuty). Najlepszą w kategorii kobiet była *Magda Horova* z Czech zwyciężczyni maratonu po raz szósty. Pokonała ona trasę 100 km w czasie 16 godzin 45 minut, był to jedenasty czas w klasyfikacji generalnej. Drugie miejsce zajęły ex aequo: *Maszka Janerka-Moroń* z Chorzowa oraz siostry *Anna i Elżbieta Sulkowskie* z Limanowej, wszystkie w czasie 16 godzin 49 minut. Najlepszym zawodnikiem po dziesięciu edycjach maratonu jest *Piotr*

Gruszkowski z Krakowa - łącznie pokonał dystans 982km w czasie 250 godzin 16 minut, Najlepsza zaś z kobiet *Dorota Stefańska* z Instambułu Turcja pokonała dystans 823 km w czasie 230 godzin 44 minut. Najlepszy zawodnik z Limanowej – ex aequo: *Arkadiusz Biernat* i *Paweł Michalik*, 100km pokonali w czasie 16 godzin 58 minut, był to w generalnej klasyfikacji maratonu osiemnasty czas

Atmosfera limanowskiego maratonu jest niepowtarzalna, świadczy o tym jego rozwój w okresie 10 lat, a przede wszystkim opinie uczestników KIERATU, zarówno bezpośrednie jak również wyrażone w relacjach zamieszczonych na stronie internetowej KIERATU. Jednym z takich wspomnień jest opis wydarzeń podczas ósmej edycji maratonu w 2011 r., zanotowany przez śp. **Tomasza Kowalskiego**, którego wybrane fragmenty prezentujemy poniżej.



Na trasie maratonu - Luboń Wielki. Fot. Krzysztof Drozdziński

KIERAT'2013



Wręczenie pucharów zwycięzcom X Jubileuszowego Międzynarodowego Ekstremalnego Maratonu Pieszego KIERAT 2013.

„Kierat na letko” – Tomasz Kowalski – *Buty mokre, nogi zablocone, srodek nocy i dookoła na stokach stromego lasu kilkanaście chaotycznie świecących czołówek. Każdy szuka czegoś co na mapie widnieje jako „Diabelski Kamień”. Nie ma go raczej tu, gdzie powinien być, no ale gdzieś być musi, więc biegamy w tę i we w tę, licząc na cud odnalezienia. Ktoś na szczęście znalazł i był na tyle łaskawy, że przekazał wieść innym. Jest tam daleko na górze. Kamień, do diabła. (...) Razem z nami napierała Ola Dzik, która dzielnie walczy i przygotowuje się do wyprawy Gasherbrum. Czołówka narzuciła ostre tempo od samego początku i szybko znika z pola widzenia. Choć mnie, aż stopy świerzbią, żeby ich gonić postanawiam trzymać się razem z Agą i zacząć wyścig od połowy. Jak Scott Jurek. Na razie jednak wszyscy nas łykają. Na drugim punkcie jesteśmy poza pierwszą pięćdziesiątką. Nie wygląda to dobrze. Napieramy jednak żwawo, nie popełniając już większych błędów w nawigacji. Nocą biegnie się szybko, a dzięki dużemu zagęszczeniu zawodników na początku cały czas spotyka się kogoś ciekawego(...). Agnieszka startuje po raz pierwszy na tak długim dystansie, do tego od razu w górach. Ja czuję się świetnie i zaczynam zbiegać stromą ścieżką ze świadomością, że wyścig dopiero się zaczyna.*

Niestety nogi Agi zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Najpierw skurcze, które ograniczają zbiegi, a potem jeszcze gorzej. Na jej odmoczonych stopach pojawiło się kilka odcisków, które podczas biegu asfaltem pękły. Przymusowo postój na zmianę skarpet. Kiedy zobaczyłem jak to wygląda, to mnie zmroziło. Dla mnie oznaczałoby to jedynie rezygnację, dla Agi jedynie powód do mocniejszego zaciśnięcia zębów(...). Aga cierpi bardzo, aż momentami serce się kraje. Przystajemy przemawiać się samymi zawodami i odliczamy kolejne kilometry w kierunku mety. Kolejny postój niedaleko jednej z licznych tu, odciętych od świata wsi. I tu zdarza się cud. Trudno powiedzieć, czy z pomocą końskiej dawki guarany, magnezu i środków przeciwbólowych, czy też z pomocą siły wyższej. W każdym razie Aga zaczyna BIEC! I to całkiem żwawo, ale nie typowym ultra maratońskim świńskim truchtem. I tak biegniemy i zaczynamy łykać kolejne zespoły (...). Ostatnie 5 kilometrów zbiegu finiszujemy na maksa. Widać Limanową, widać kościół, przyspieszamy, jest most, jest dom kultury i jest Meta!! Trzeba jeszcze było na dzień następny dotrzeć do sali widowiskowej LDK, odebrać wręczony dyplom, medal i koniec. 18 godzin i 4 minuty. Zajmujemy odpowiednio 24 i 25 miejsce na 578 startujących. Aga, że przybiegła jako czwarta

kobieta, dostaje puchar i tytuł drugiej wicemistrzyni w mistrzostwach Polski pieszych maratonów na orientację. Skłamałbym gdybym napisał, że jestem zadowolony z wyniku. Nie ma sensu zastanawiać się, co by było gdybym ścigał się od samego początku. Udowodniłem sobie tylko, że przebiegnięcie 100 kilometrów nie musi wiązać się z bólem i cierpieniem, ale może być zaskakująco przyjemnym doświadczeniem. Dzięki wszystkim znanym i nieznanym osobom spotkanym na trasie za wspólną walkę i niezłą zabawę. Za rok wracam i walczę o pudło.

Tomasz Kowalski nie przyjechał w następnym roku, na IX edycję KIERATU w roku 2012, zapewne pochłonięty był przygotowaniem wyprawy - zimowego wejścia na Broad Peak – 8047m n.p.m. w Himalajach. Jako pierwsi himalaiści w historii 5 marca 2013 roku zdobyli zimą szczyt Broad Peak Adam Bielecki, Artur Małek, Tomasz Kowalski i Maciej Berbek. Ze szczytu nie zeszli Tomasz Kowalski i Maciej Berbek.

**Tekst i fotografie:
Stanisław Ociepka**

Patronem projektu było:
województwo małopolskie

Przy opracowaniu materiałów korzystano z internetowej oficjalnej strony Międzynarodowego Ekstremalnego Maratonu Pieszego KIERAT



Stanisław Ociepka

Fot. S. Ociepka

One World – One Kyokushin - jeden świat – jedno karate

To niesamowite, aby w tak krótkim czasie osiągnąć tak wiele. Należy więc podziwiać zarówno twórców jak i organizatorów limanowskiego klubu karate „ARS” Kyokushinkai, któremu od samego początku patronuje medialnie „Echo Limanowskie”, na którego łamach wielokrotnie prezentowaliśmy rozwój klubu jak również osiągnięcia zawodników. Dokonać tego mogli tylko pasjonaci rozkochani w walkach wschodu.

Wszystko rozpoczęło się wiosną 2008 roku. Mamy więc mały jubileusz pięciolecie istnienia klubu. Nieformalną działalność grupa dzieci, w tym mój najstarszy wnuk Filip, w prywatnej sali przystosowanej do ćwiczeń, rozpoczęli przygodę z karate. Po kilku miesiącach aktywnych ćwiczeń zostaje zrealizowane zamierzenie. Po raz pierwszy 14 grudnia 2008 r. grupa dzieci wyjeżdża na turniej do Kościeliska. Z zawodów przywożą

puchary i dyplomy, przekonując się, że systematyczna praca daje rezultat oraz satysfakcję i uznanie. Grupa dzieci powiększa się, treningi muszą być przeniesione z małej prywatnej sali do większej zastępczej sali gimnastycznej w Zespole Szkół Technicznych i Ogólnokształcących przy ul. Zygmunta Augusta. W trzecim roku działalności klub zostaje przygarnięty przez dyrekcję Zespołu Szkół Samorządowych nr 3 w Limanowej, gdzie przygoda z karate rozpoczęła się na dobre. Oficjalnie powstaje Klub „ARS” Kyokushinkai Limanowa z inspiracji głównego animatora a zarazem trenera sensei Arkadiusza Sukiennika (2 dan), którego dzielnie wspiera sensei Robert Dziedzic (1 dan) przy znacznym zaangażowaniu rodziców dzieci ćwiczących w klubie.

Byłem świadkiem jak z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc klub się rozwijał i rozrastał, a zawodnicy reprezentujący go, zdobywali coraz lepsze rezultaty w wielu turniejach na terenie Polski.

Po pięciu latach działalności z zadowoleniem można powiedzieć, iż uczestnictwo w zajęciach daje dzieciom radość, a także satysfakcję w zdobywaniu kolejnych uczniowskich sprawności kyu (kolor pasów). Klub natomiast stał się organizatorem turniejów karate na wysokim poziomie, zarówno w skali lokalnej jak i ogólnopolskiej, organizowanych w hali sportowej przy ZSS nr 3 w Limanowej. Turnieje te przygotowują rodzice dzieci zrzeszonych w klubie przy wsparciu władz samorządowych miasta powiatu i gminy oraz niektórych limanowskich firm. Ten rodzaj rywalizacji dzieci w zawodach karate organizowanych w Limanowej jest znaczącą promocją naszego miasta w całej Polsce.

25 maja 2013 w hali sportowej przy ZSS nr 3 w Limanowej odbyła się kolejna – trzecia edycja Ogólnopolskiego Turnieju Karate Kyokushin Dzieci „One Word One Kyokushin”.



OGÓLNOPOLSKI TURNIEJ KARATE KYOKUSHIN DZIECI - LIMANOWA 2013

Fotografie od góry:

Andrzej Mrozek i Karol Sulkowski, karatecy z Limanowej symbolicznie rozpoczynają turniej.

Shihan Andrzej Drewniak, wiceprezes Polskiego Związku Karate.

Milena Sukiennik „ARS” w konkurencji kata.

Wszyscy zawodnicy otrzymali pamiątkowe medale.

Julia Adamczyk „ARS” w kategorii Kumite.

Na podium (kategoria kata chłopców 10-11 lat): Kamil Baran - Bukowno, Konrad Heliak - Dąbrowa Górnicza, Jakub Ociepka - „ARS” Limanowa.





Podopieczni senseia Arkadiusza Sukiennika z „ARS” Klubu Kyokushinkai Limanowa po zakończeniu turnieju.

Gościem honorowym turnieju był „ojciec” polskiego karate kyokushin, shihan Andrzej Drewniak (8dan), wiceprezes Polskiego Związku Karate, Sekretarz Generalny Światowej Organizacji Kyokushin, jedyny Polak, który był osobistym uczniem (uchidechi) Sosai Masutatsu Oyama.

W tym roku do rywalizacji sportowej na limanowskich tatami w konkurencjach kata i kumite przystąpiło 343 młodych karateków – przedstawiciele różnych światowych organizacji Karate Kyokushin z Biecza, Bukowna, Dąbrowy Górniczej, Fryszta, Gdańska, Gubina, Góry Kalwarii, Jasła, Krosna, Krakowa, Kościeliska Legnicy, Lipna, Limanowej, Laskowej, Łopusznej, Radomska, Radoszyc, Sieradza, Starego Sącza, Skawiny, Nowego Sącza, Szydłowca, Tarnobrzega, Tarnowa Opolskiego, Uścia Gorlickiego, Wieliczki, Zakopanego i Żąbkowic Śląskich. Ponadto w tegorocznej rywalizacji sportowej w limanowskim turnieju brali udział zawodnicy z zagranicy - z czeskiego Brna.

Rywalizację sportową na trzech tatami oceniało łącznie 43 sędziów pod przewodnictwem shihana Ryszarda Kipera (5 dan) z Tarnobrzega, który był sędzią głównym zawodów.

Tegoroczny turniej wspierały firmy: Elektrycal, Limdróg, EMI Agnieszka i Zbigniew Poręba, Profit, Kaolim Ochrona, Elektret, Bank Spółdzielczy w Limanowej, Elstan, Restauracja „Stary Browar”, „Gol” – sklep sportowy, Centrum Szkołań Ratowniczych.

W ogólnopolskim turnieju karate kyokushin rywalizowano 343 karateków w 31 kategoriach wagowych i wiekowych, zarówno w kata, jak i w kumite.

Medale dla „ARS” Klubu Kyokushinkai z Limanowej w konkurencji kata zdobyło 12 zawodników: złote 3 karateków: *Kacper Jurkiewicz, Martyna Wątroba, Julia Adamczyk*; srebrne 6 karateków: *Natalia Janik, Klaudia Puch, Milena Sukiennik, Jakub Sowa, Dariusz Wajda, Bartłomiej Wajda* oraz 3 brązowe - *Jakub Ocieпка, Jakub Kądziołka, Andrzej Mrozek*.

W konkurencji kumite na podium stanęło 11 limanowskich zawodników. Złoty medal zdobył *Dariusz Wajda*, srebrne medale: *Renata Sukiennik, Justyna Zelek, Julia Adamczyk, Emilia Poręba*; brązowe medale 6 zawodników: *Jakub Król, Andrzej Mrozek, Przemysław Stachak, Karol Sulkowski,*

Małgorzata Jeż, Jakub Gaik.

W klasyfikacji drużynowej pierwsze miejsce zajął „ARS” Klub Kyokushinkai Limanowa, drugie UKS Kyokushin Karate Stary Sącz, a trzecie Szydłowiecki Klub Karate Kyokushin.

Po zakończonym turnieju shihan Andrzej Drewniak – wiceprezes Polskiego Związku Karate, powiedział: „*Jest doprawdy imponujące, że tak ogromna rzesza zawodników uczestniczyła w limanowskim turnieju. Jestem zachwycony organizacją imprezy. Przyznaję, że Limanowa jest obecnie obok Świnoujścia – głównym ośrodkiem kyokushinkai dzieci i młodzieży w Polsce.*”

Redakcja „Echa Limanowskiego” życzy dalszych sukcesów w następnych latach.

Fotografie: Dariusz Ocieпка



Autor artykułu, limanowianin z urodzenia, gościł już na naszych łamach, relacjonując swój rejs przez Bałtyk na „Trinidad”, czterometrowej łódce własnej roboty („Echo Limanowskie” nr 206-207 listopad-grudzień 2011 r.). Za wyczyn ten w 2012 r. otrzymał, wraz z dowódcą i armatorem bliźniaczej jednostki „Black Betty”, Aleksandrem Hanuszem, wyróżnienie na festiwalu podróżników „Kolosy” (w kategorii „Żeglarstwo”). Poniższe sprawozdanie opisuje rejs obu załóg wzdłuż norweskiego wybrzeża na Lofoty, który odbył się w lipcu 2012 r. Także ten wyczyn znalazł uznanie w oczach jury „Kolosów” i w 2013 r. wyróżnienie ponownie trafiło w ręce tej samej dwójki zapaleńców garażowego szkutnictwa i żeglarstwa odkrytopokładowymi „łupinkami”.



Metalowy globus na małej wyspce znaczy koło podbiegunowe.

Za krąg polarny na „łupinkach” ze sklejki

Filip Sułkowski

Po udanym rejsie przez Bałtyk mieliśmy pewien niedosyt. Dwa tygodnie żeglowania ledwie zaspokoili naszą potrzebę wakacji. Kiedy entuzjazm po udanej wycieczce zaczął powoli stygnąć, zaczęliśmy myśleć o następnym sezonie. Tylko gdzie? Nasze szalupki, choć niewątpliwie dzielne i świetnie dające sobie radę na rzekach i jeziorach, przy rejsie morskim wymagają szczegółowego planowania i baczności na stan pogody. Każdy miał jakiś pomysł, ale dopiero hasło „Koło Podbiegunowe”, podane przez Olka Hanusza, zadowoliło wszystkich w pełni. Kości zostały rzucone i przez następne kilka miesięcy trwały żmudne przygotowania. Większość sprzętu mieliśmy zgromadzone, pozostały więc do ogarnięcia drobne prace konserwatorskie i gromadzenie funduszy na transport i wikt. Olek, mający skłonności do „dziubdziania”, zamontował na swojej „Black Betty” światelko topo-

we i elektrykę (zasilaną ze starego akumulatora samochodowego), ja z Miłoszem, współwłaścicielem łodzi i współtowarzyszem podróży, odnowiliśmy kadłub „Trinidad”, nadając jej w miarę do przyjęcia gładkość i admirałski połysk.

Wyruszyliśmy z początkiem lipca. Olkowi w pierwszym etapie towarzyszyła Anka, znajoma z uczelni, ja, niestety, z braku chętnych, pierwszą połowę rejsu musiałem odbyć sam. Obładowane rurowianem na miesiąc, nasze automobile ruszyły z mozołem na północ. W Trondheim stanęliśmy trzeciego dnia rankiem. Nie traciliśmy czasu i jeszcze tego dnia wieczorem obie łódki kołysały się na wodzie. Następnego dnia dokończyliśmy szałunek i montaż dodatkowych bukszprytów, odbierając w międzyczasie najazd lokalnych dziennikarzy. Miesiąc później odebraliśmy specjalnie dla nas egzemplarze lokalnego „bladet”, gdzie sta-

nowiliśmy na szóstej stronie niewątpliwą atrakcję, pomiędzy artykułem o stłuczce, a kolesiem, który oswoił jeża.

Wyłynęliśmy z odpływem po 22.00. Dopiero przed 3.00 podniósł się delikatny wiatr, postawiliśmy żagle.

Z fiordu wychodziliśmy niecałe dwa dni. Na tych szerokościach w lecie jasno jest niemal cały czas. Rytm dnia i nocy przestaje mieć znaczenie i często wypływaliliśmy „na noc”. Przez pierwsze dni było słonecznie i ciepło, napotkani krajowcy cieszyli się z 26 stopniowych upałów. Niestety lato roku Pańskiego 2012 w królestwie dobrego króla Haralda skończyło się 5 lipca.

Przy wyjściu z fiordu Boreasz przypomniał sobie o swoich obowiązkach i mieliśmy pierwsze ćwiczenia z refowania żagli. Początkowo wiązałem ster, aby nadać łódce choćby pozory utrzymywania kursu. Z czasem zarzuciłem ten chybiony patent; łódka po uwolnieniu steru ►

sama ustawiała się pod fale, należało ostrożnie przenieść swoją czcigodną osobę na miotający się na falach dziób i zapierając się kolanami (żeby nie wypaść) przystąpić do zrzucenia żagla. Tymczasem wiatr tężał i kiedy wiatromierz zaczął nieśmiało wskazywać 6 stopni w skali Beauforta, zdecydowaliśmy się szukać schronienia w najbliższej napotkanej przystani. Podejście dostarczyło nam pewnych emocji. Najpierw na „Trinidad” zakasłał silnik i zgasł. Nie powinno mnie to dziwić, gdyż były z nim problemy już w fiordzie. Chwilę później Olek podaje przez krótkofalówkę, że silniczek „Black Betty” też nie działa. Sytuacja stała się trochę nerwowa, od brzegu dzieliło nas raptem kilkadziesiąt metrów, co przy dość wzburzonym morzu mogło się kiepsko skończyć. Po krótkiej szarpaninie i odpowiedniej dawce bluźnierstw moje tohatsu zaskoczyło i czym prędzej uciekłem spod klifu. Olek po kilku nieudanych próbach odpalenia podjął decyzję o wejściu na żaglach do porciku. Chwilę później „Black Betty”, skacząc jak piłka na fali, triumfalnie wpłynęła do porciku o wielkości boiska do koszykówki. Po odespaniu i przesuszeniu Olek w bojowym nastroju zabrał się do badania przyczyn usterki i po rozebraniu gaźnika wydobyl z niego... rozpuszczony długopis.

W Djupfest spędziliśmy dwa dni, czekając na przejście frontu i niemilosiernie się nudząc. Szczęściem jeden z miejscowych dzentelmenów otworzył nam hyttę [żeglarski schron – przy. red.], dzięki temu wzięliśmy porządne prysznicze i mogliśmy odpocząć od gwizdającego wiatru.

Trzeciego dnia wiatr zelżał i ruszyliśmy dalej. Niestety pogoda z każdym dniem stawała się bardziej angielska. Skaliste brzegi ubrane są niezmiennie w sine czapy chmur, wilgoć wciska się wszędzie, nie pomagają foliowe worki założone na bagaże, które dla bezpieczeństwa przywiązane są do burt. Co nie jest mokre od bryzgów słonej wody, to moknie od nieustającej mżawki. Jest zimno, chociaż to środek lata, temperatura chwilami spada do 8 stopni w dzień. Czapka i kilka par skarpetek to standard. Na zwykłe ubrania zakładamy kombinezony wypornościowe z pianki, które świetnie chronią przed wyziębieniem, zwłaszcza przy wpadnięciu do wody. Ograniczają trochę swobodę ruchu, ale na małej łódce i tak nie mam na to miejsca. Od czasu do czasu krzepimy się dżinem lub nalewką sosnową. Płyniemy na północny wschód wzdłuż wy-

brzeża, osłonięci od otwartego morza łańcuszkiem wysp i wyseppek. Mijamy farmy łososi, samotne domki ukryte wśród skał i rachitycznych drzewek, czasem statki. Kilka razy widzimy rozbite na skałach wraki. Paradoks: w kraju miliona wysp, o długości linii brzegowej ponad 25 tysięcy kilometrów, jachtów widzimy niewiele. Od czasu do czasu na płycznach przy szkiełkach spotykamy fokę. Ich czarne główki z ciekawością obracają się w naszą stronę.

Nasze średnie dobowe przebiegi wynosiły około 40 mil morskich. Trzymamy równy dystans między sobą, z rzadka tylko rozdzielając się we fiordach. Obie łódki są prawie identyczne, ale cięższa o jedną niewiastę i jej bagaż „Black Betty” lepiej radzi sobie przy większej fali, którątnie niczym bombowiec. Z kolei „Trinidad” w spokojniejszych warunkach szybko wybija się do przodu. Zazwyczaj po 8-10 godzinach zawijaliśmy do ustalonego

cieśninę pomiędzy wyspami, dzięki której większość trasy następnego etapu miała przebiegać w osłoniętych fiordach. W jednej cieśninie, dzięki pchającym nas prądom morskim osiągamy niesamowitą prędkość 8 węzłów. Nie minęło kilka godzin, gdy oczom naszym ukazał się mrozący krew w żyłach widok – „nasz” przesmyk zasypany był gruzem, na szczycie zaś, z ramieniem wyciągniętym ku nam w geście obelgi, stała koparka. Nie powtarzając się zbyt w przekleństwach wracamy, nadrabiając 16 mil. O 4-tej nad ranem dotarliśmy do portu na wyspie Leka.

Osiemnastego dnia, nieco po 22.00 przekroczyliśmy Koło Podbiegunowe. Przepływający statek pozdrowił nas kanonadą syren okrętowych.

W Ornes dołącza wreszcie Miłosz, który dotarł po dwóch dniach podróży samolotami, autem i promem. Miasteczko poza przystanią promową i fabryczką mącz-



W drodze do miejsca startu nasze karawany musiały pokonać tysięczmetrowe przewyższenia.

wcześniej portu, następnie rozbijaliśmy namioty lub, o ile była taka możliwość, korzystaliśmy z miejscowych seilerhytte – klubowych domków dla żeglarzy, zazwyczaj otwartych cały dzień.

Pożegnaliśmy się z Anką w połowie lipca w Rorvik. Jedną z większych atrakcji w tej „Wenecji Północy” była oferta pracy w fonetycznym polskim. Ogłoszenie wisiało na kulturalnym ośrodku, jakim jest supermarket. Norwegia „uczciła” powrót Anki kolejną powodzią z nieba. Następny tydzień, do czasu przybycia Miłosza, płyniemy z Olkiem sami.

Odpowiednio wykołysani przez morze, mieliśmy ochotę przelecieć przez małą

ki rybnej nie ma zbyt wiele atrakcji, więc odpływamy w noc. Niedaleko. Dwie godziny później wpływamy na żaglach do maleńkiej zatoczki na wyspie Stott. Pierwszy do brzegu przybił Olek, robiąc na zgromadzonych na tarasie maciupęńskiej tawerny wikingach spore wrażenie. Gdy pół godziny później „Trinidad” przytulila się do kei, mieliśmy już zapewniony suchy nocleg na podłodze pubu i ogniste przyjęcie. W kulturowej wymianie doświadczeń Olek, Miłosz i ja zmierzyliśmy się z Leifem, Inge i Thor-galem (ten ostatni cieszył się, ponieważ jak twierdził, z tylko my umiemy poprawnie wymówić jego imię...). Na wynik starcia zarzucił zasłonę milczenia.

Spędziliśmy tam pół dnia, korzystając z niezwyklej, bezchmurnej pogody. Stott to właściwie dwie wysepki połączone małym mostkiem. Mieszka tam około pięćdziesięciu wyspiarzy, którzy do swojej dyspozycji mają przystań promową (dwa razy dziennie kurs), sklepik (czynny w poniedziałki, asortyment wszelaki), restaurację, tawernę, fabrykę mączki rybnej (tak, pracują tam Polacy) i kilometr asfaltowej drogi.

Znów spóźnieni wypływamy w noc, a właściwie w półmrok. Jest na tyle jasno, że od miesiąca nie widzieliśmy gwiazd. Słońce znika za horyzontem zaledwie na 3 godziny. W krwawym wschodzie wchodzimy do Soebsoj. Tu dołącza do nas Dobromira, wraz z ogromną walizką i dużą butelką rumu. Rum się przydaje, bo nadchodzący sztorm uziemia nas w tym ostatnim kręgu piekieł na cztery dni. Próba wcześniejszego wyjścia w, jak nam się

Z nudów zaczynamy łowić ryby, które mimo sztormu biorą jak oszalałe. Ponieważ początkowo smażyliśmy je w namiocie (wiatr), to ich delikatny bukiet podążał za nami aż do porządnej kąpieli w Polsce.

Nastąpił ostatni, najdłuższy skok na Lofoty. Oderwaliśmy się od wybrzeża i przecięliśmy morze w stronę archipelagu Lofotów. Dokoła mgła lub nisko wiszące chmury, więc brzeg szybko zniknął z pola widzenia. Mapy ostrzegają przed niebezpiecznymi falami, więc płyniemy ostrożnie, bacznie obserwując pogodę. Koło 21.00 pogoda znów nas zaskoczyła i w przeciągu pół godziny ukazało się czyste niebo i Svolvaer w całej krasie. Pierwsza napotkana marina nie zachwyciła nas, być może z powodu wszechobecnego smrodu mączki rybnej. Skierowaliśmy się w stronę centrum miasta, gdzie przy samym deptaku udało nam się wcisnąć pomiędzy ogromne turystyczne motorówki.

ry był kilkaset metrów od nas, że widzimy lewiatana i płyniemy do niego. Obie łódki zrobił zwrot o 90 stopni i na pełnych obrotach dwuipółkonnych silniczków brnęły pod fale w kierunku walenia. W pewnym momencie wydawało się, że go zgubiliśmy, lub że potwór zniknął w głębinach, gdy nagle około 100 metrów od nas „dmuchnęło” i najpierw pokazał się ciemny grzbiet a potem ogromna płetwa ogonowa. Darliśmy się jak opętani. Po chwili było po wszystkim. Zawróciliśmy łódzie do brzegu.

W fiordzie razem z Miłoszem postanowiliśmy ostatni raz powędkować przy brzegu i omal nie rozbiliśmy łodzi o skały, nie doceniając fali zrobionej przez przepływający prom. Po północy ostatni wspólny nocleg w Skutvika. Co prawda „Wrota Lofotów” nie oferują wyrafinowanych wygód (ani żadnych innych), za to mamy mnóstwo miejsca przy pustym pomoście, na środku którego rozbijamy namioty. Olek, mający naturę szperacza, znalazł też jakiegoś dżentelmena, który wspólnie z synem buduje w ogromnej szopie gigantycznych rozmiarów drewniany jacht, którym za 2 lata mają plan udać się do Ameryki.

Błądym świtem Miłosz wsiada na prom do Bodo po auto. Ostatni etap żeglugi prowadzi do Innhabet, osiedla przy krajowej E6. Płyniemy wzdłuż pionowych skał fiordu tak blisko, że muskamy je dłońmi, a z góry spada na nas woda ze strumieni. Wpływamy pod skalne nawisy, pod którymi się całkowicie chowamy. Ostatni raz widzimy delfiny i orły bieliki. W Innhabet nie znajdujemy żadnego slipu. Idąc za radą uczynnych krajowców wyciągamy „Trinidad” na przyczepkę po litej skale na przyląwie, nic lepszego w okolicy nie ma. Cała akcja zajmuje nam dwie godziny i około 22.00 wyjeżdżamy we trójkę w okolice Trondheim, 800 kilometrów na południe, skąd rozpoczęliśmy rejs miesiąc wcześniej. Tam Olek wsiądzie w swój samochód i jeszcze raz wróci na Północ, po Dobromirę i „Black Betty”.

Nasza wycieczka trwała miesiąc i dwa dni, w tym 26 dni rejsu, przebyliśmy około 585 mil morskich.

Fotografie: archiwum uczestników rejsu

Reportaż fotograficzny na stronach: 34-35



Z powodu angielskiej aury widzieliśmy tylko połowę widoków, które można obejrzeć w folderach turystycznych.

wydaje, „okienku pogodowym” kończy się niepowodzeniem. „Trinidad” bierze wodę burtą, „Black Betty” znów ma awarię silniczka. Mija kilka długich chwil, nim zrozumiemy przez zamknięte radio przekleństwa Olka, który bez możliwości manewru dryfuje na skały. Zawracamy i bierzemy ich na hol. Nastroje podłe. Jedyne miejscowe atrakcje to supermarket i tawerna, czynna sześć razy w roku. Niestety wpadamy jakoś tydzień za wcześnie. Wiatr wzmaga się tak, że w namiocie trudno siedzieć, więc po kolei okupujemy lokalną toaletę (smażymy w niej Fiskekaker- placuszki z mączki rybnej), potem bosman pozwala nam zasiedlić hyttę.

Svolvaer jest czymś w rodzaju stolicy Lofotów, gdzie koncentruje się ruch turystyczny, więc miasteczko tętni życiem po „wielkomiejsku”. Cel osiągnięty, uściski dłoni i idziemy świętować do lokalnej tawerny, w której akurat miał miejsce jakiś koncert rockowy. Piwo w barze kosztuje około 60 zł, niewielka naklejka 30 zł, kilkunastominutowy rejs motorówką na fotosafari („95% szans zobaczenia wieloryba!”) - około 1000 zł. Nic tu po nas, następnego dnia ruszyliśmy na kontynent. W połowie drogi powrotnej Miłosz wypatrzył jakąś mgielkę na południu. Zaczęliśmy wpatrywać się i ... wieloryb! Przez krótkofalówkę wrzeszczymy do Olka, któ-

Powracająca Żmiąca

Elżbieta Wojtas-Ciborska

Żmiąca jest najdłużej badaną wsią w Polsce. Polubili ją uczeni, bo to rzeczywistość niezwykle ciekawa, słynąca z doskonałych warunków przyrodniczych i zdrowotnych, podobnie jak cała Limanowszczyzna. Nic zatem dziwnego, że Franciszek Bujak, który jako młody doktor opisał w 1901 Limanową, będąc zagrożony gruźlicą pustoszącą szeregi młodopolskiej inteligencji, zwrócił uwagę na zamożną wieś, otoczoną górami i lasami, by zaczerpnąć świeżego powietrza i jak u Mickiewicza „napić się i nadyszeć Ojczyzny”, a przy okazji książką *Żmiąca, wieś powiatu limanowskiego*, wydaną w 1903 roku, dać początek socjologii wsi i wytyczyć wzorzec pracy o charakterze monografii. Dziś każda miejscowość poczytuje sobie za punkt honoru wydanie własnej monografii, a zaczęło się to po prostu od Żmiącej. Pobyt tu okazał się bardzo owocny. W konkluzji wymienionej książki badacz napisał: *Mimo wszystko, cokolwiek dąłoby się wytknąć tej ludności, można z całą słuszością powiedzieć, że nasz kraj przedstawiałby się o wiele korzystniej, gdyby Żmiąca była typem najbar-*

kiej w nim rozpowszechnionym; niestety, jest właśnie przeciwnie (s. 146).

Z tak zgromadzonym zapasem sił późniejszy profesor największych polskich uniwersytetów, uczestnik konferencji wersalskiej w 1919 roku, a w 1920 - podczas wojny polsko-bolszewickiej - minister rolnictwa i dóbr państwowych, przetrwał ostatnią wojnę i dożył sędziwego wieku. W marcu tego roku w gmachu Centralnej Biblioteki Rolniczej z okazji 60 rocznicy jego śmierci odbyła się sesja naukowa pod hasłem *Wkład profesora Franciszka Bujaka do badań naukowych i polskiej kultury politycznej*. Wśród referentów znalazł się profesor Tomasz Borecki, do niedawna rektor SGGW, obecnie doradca prezydenta RP, który przybliżył sylwetkę Bujaka, obdarzonego w 1937 roku tytułem doktora honoris causa SGGW. Zdaje się, że nie ma jeszcze ulicy Franciszka Bujaka w Limanowej. Może warto ją ustanowić?

Śladami Bujaka w Żmiącej podążają następne rzesze socjologów. Jeszcze przed wojną trafił tu inny adept nauki, Tomasz Rykała z zamiarem pisania monografii, cze-

mu przeszkodziła choroba. Jego częściowe wyniki prac spożytkował Wincenty Styś (1903-1960), wybitny uczeń Bujaka, przedwojenny profesor ekonomii na UJK we Lwowie, po wojnie pionier ekonomii we Wrocławiu, także profesor uniwersytetu i rektor Wyższej Szkoły Ekonomicznej.

Gdy z kolei w 1952 roku do Żmiącej przybył Zbigniew Tadeusz Wierzbicki, obecny profesor UAM w Poznaniu, a wtedy młody doktor z katedry socjologii profesora Stanisława Ossowskiego na Uniwersytecie Warszawskim, jego mistrza pozbawiono katedry i wyeliminowano z UW. Badania musiał prowadzić zatem sam niemal półkonspiracyjnie, wzbudzając podejrzliwość różnych funkcjonariuszy. Nawet gościnni gospodarze, widząc go z teczką, też go brali za funkcjonariusza, przycinając: *Jak pan będzie taki ciekawy, to się rozchoruje. Był już tu taki jeden!* Prowadził więc Wierzbicki prace z przerwami, wydając w 1963 opasły tom pt. „Żmiąca w pół wieku później”. Dał w nim znakomity portret socjologiczny żmiąckiej społeczności. Uznał, że fundamentalne znaczenie dla jej uobywatelnienia miał



„Paneliści” w komplecie. Od prawej: Magdalena Zowczak (etnograf), Tomasz Kizwalter (historyk), autor monografii Michał Łuczewski, Zbigniew T. Wierzbicki, Jerzy Szacki.

„po Bujaku” niezwykle pęd do nauki tutejszej młodzieży, co wykreowało zmiącką inteligencję. Było to zasługą nauczycielstwa, zwłaszcza w II RP i potem. Także procesowi temu sprzyjali liczni zmiąccy wychodźcy, przed obu wojnami do Ameryki, a po wojnie na Ziemi Zachodnie. Emigracja trwa po dziś dzień, teraz zwłaszcza do krajów unijnych, co sprawia, że Zmiąca się wyludnia, a tylko nieliczni utrzymują się z rolnictwa.

Przed 1914 rokiem zmiąkanie przybywali do Ameryki formalnie jeszcze jako Austriacy. Będąc w obcym środowisku oraz mówiąc po polsku – dla wyrażenia swej tożsamości – szybko się polonizowali, a ci, co wracali, interesowali się żywo sprawami polskości. Pojęcie narodu polskiego i przynależności doń zmiącan ukształtowało się wyraźnie do wybuchu II wojny światowej.

Z kolei współczesny badacz, doktor Michał Łuczewski – socjolog i psycholog z Uniwersytetu Warszawskiego, znów prawie dekadę spędził w Zmiącej, której najpierw poświęcił pracę doktorską, a następnie jako adiunkt UW wydał w ubiegłym roku obszerną książkę pt. *Odwieczny naród. Polak i katolik w Zmiącej*. Uzyskała ona wyróżnienie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Wyruszymy w niej w pasjonującą podróż od średniowiecza po współczesność, przyglądając się polskim ideologom narodowym od sarmackości poczynając. Widzimy jak Polacy stawali się narodem i jak naród stawał się katolicki. Autor bardzo często cytuje Bujaka i Wierzbickiego. I tak jak Bujak mówił zmiącanom, że są Polakami, to się obrażali, tak dziś podobną reakcję wywoływałoby powątpiewanie w ich polskość! Tak wielka wędrówka ku uobywatelnieniu jest zasługą tak duchowieństwa, co autor preferuje, jak i wymienionych wyżej czynników. Dodałabym jeszcze państwowotwórczą rolę przedwojennego wojska, partii politycznych oraz ruchów społecznych.

Niedawno w Domu Spotkań z Historią w Warszawie odbyła się ciekawa dyskusja o tej książce z udziałem profesorów: Magdaleny Zowczak (etnograf), Tomasza Kizwaltera (historyk), Jerzego Szackiego (socjolog – promotor pracy doktorskiej autora), Zbigniewa Tadeusza Wierzbickiego i autora, którą prowadził doktor Marcin Zarembo, historyk dziejów najnowszych. Tym sposobem Zmiąca zagościła na salonach, a i świat raz po raz do niej zagląda.

A gdybym był młotkowym ...

Zbigniew Sułkowski

Kowalski festyn

u Władysława Raczka w Pisarzowej



Kuć żelazo póki gorące!

A działo się w niedzielę 26 maja w wyjątkowo pięknie położonym gospodarstwie rodzinnym Raczków w Pisarzowej, dokąd ściągnęli najpierw goście szczególnie, a to kowale z dziada pradziada z Zakopanego – Stanisław Gąsienica Byrcyn, Jacek Biernacik, Marek Mazur i Andrzej Sobczak, oraz z Bochni Marcin Zareński. Ci „od Tater” mogli dziwić trochę, że swa, jak należy, bukowe portki z parzenicami mieli wpuszczone w skórzane buty z cholewami. Nie był to jednak żaden nowomodny szpan, lecz wierność tradycji – kowale zakopiańskich hamerki, dziś: kuźnic (Kuźnic) otrzymywali z przydziału takowe obuwie i tym się wśród innych wyróżniali.

Goście pozostali, którzy mimoniemajciekawszej pogody przybyli licznie na ową kowalską „majówkę” – w Limanowej to



Władysław Raczek prezentuje wykuty z żelaza kieliszek.



Józef Wójtowicz - konferansjer.



Jan Kurek. „Ja na twojej babce kosę klepałem” (ludowe).

słowo strasznie heretyckie, ale w Pisarzowej widać już nie –nie wiedzieli czy bardziej podziwiać to, co kowale na swych polowych warsztatach z metalu wyczarowywali, czy ich grację w nie naruszaniu przy robocie swych skomplikowanych galowych strojów.

W dzisiejszej dobie automatyki i tworzenia świata wirtualnego potrzebujemy solidniejszego punktu podparcia, żeby nie zwariować. A czy może być podpora pewniejsza jak z żelaza i stali i piękniejsza, jeśli wykuta w ogniu siłą uzbrojonej w młotek (młot) ręki?

Na majówce u Władysława prezentowano wśród innych prac dzieła artystyczne Zygmunta Kłosowskiego, Kazimierza Basty, Władysława i Joanny Raczek, w tym kowalskie wyroby artystyczne i kompozycje plastyczne wykonane metodą kowalską. Bo rzemiosło (rękodzieło) może być sztuką lub nie, ale sztuka przy braku umiejętności rzemieślniczych (warsztatu) twórcy po prostu nie zaistnieje.

I naturalnym było, że Jasiu Kurek z Limanowej, na co dzień plastik i rzeźbiarz, u Raczków prezentował klepanie kos i ostrzenie narzędzi na ręcznym, kamiennym „brusku”. Żadna szlifierka nie wyostrzy tak dobrze siekiery, jak ów moczony w wodzie kamień.



Repliki broni palnej Rafała i Mariana Ardeckich.

Na osobną uwagę zasługiwała ekspozycja replik broni palnej – od armat na proch dymny po bergmany czy angielskie steny z czasów II wojny wykonywane przez zamieszkałych w Pisarzowej Rafała i Mariana Ardeckich, a spory tłumek miejscowych przyglądał się z zadziwieniem (jak kiedyś mieszczuchy) pokazowi konnej orki i bronowania.

Grała kapela z pisarzowskiej Mielówki, gości witanych z humorem przez komentatora imprezy Józka Wójtowicza

ze Słopnic, częstowano bigosem, smalcem i czym tam jeszcze... jednym słowem, cytując klasyka: „Załuż Rudy, żeś nie poszedł z nami !”

Dziękujemy, Władysławie i prosimy o jeszcze!

**Tekst i fotografie:
Zbigniew Sułkowski**

Projekt ołtarza wykonany w jedną noc - dopełnienie

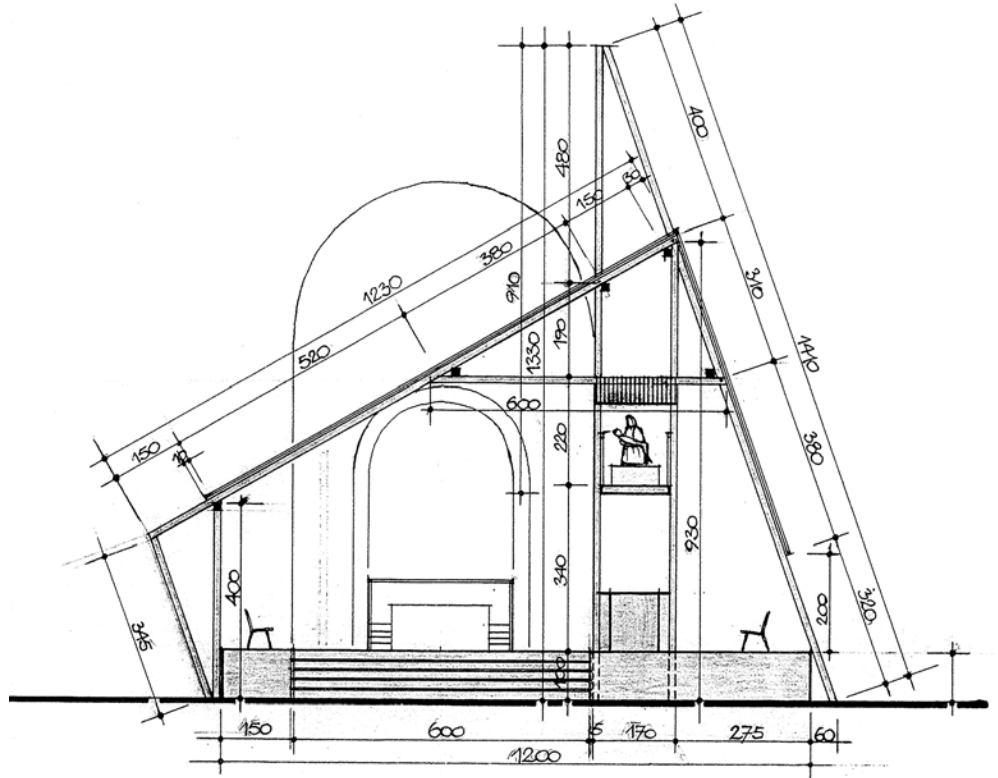
Pragnę podzielić się z Czytelnikami „Echa Limanowskiego” wspomnieniami związanymi z powtórą koronacją Piety limanowskiej dokonaną 30 lat temu, dopełniając pewien szczegół do bardzo ciekawego artykułu dr. Józefa Szymona Wrońskiego, który ukazał się w majowo – czerwcowym numerze tego dwumiesięcznika, opisujący wydarzenia związane z uroczystością powitania cudownej Figury w Limanowej.

Wspomnienia te dotyczą ołtarza polowego przed bazyliką limanowską, który miał być wykonany na tą uroczystość.

Pomiędzy powtórą koronacją dokonaną przez Ojca św. Jan Pawła II na krakowskich Błoniach, 22 czerwca 1983 r., a zakończeniem tej uroczystości w Limanowej, którą zaplanowano na 26 czerwca, było zaledwie cztery dni. W tym czasie figura Matki Boskiej Bolesnej wracała do Limanowej okrężną drogą przez wiele miejscowości, gdzie witały ją tłumy wiernych. Ostatnim etapem jej wędrówki była kaplica łaski w Mordarce, w której kult Figury rozpoczął się w XVI wieku.

Księża i wierni w Limanowej stanęli przed trudnym zadaniem zaprojektowania i wybudowania w krótkim czasie ołtarza polowego o dostojnym wyglądzie, aby zakończenie wędrówki i powrót Piety na limanowski tron, mógł odbyć się w godnej oprawie.

Następnego dnia po naszym powrocie z Krakowa przyjechał do mnie późnym popołudniem ówczesny wikary w limanowskiej parafii ks. Marian Tyrka z prośbą, aby udać się z nim na plebanię na naradę w sprawie budowy ołtarza polowego. Wszystko odbywało się w wielkim pośpiechu. Na plebanii zastaliśmy kilka osób: księży i świeckich, którzy z ożywieniem dyskutowali o tym problemie. Projekt ołtarza miał być gotowy w następnym dniu, aby ciesze zdążyli go jeszcze wybudować przed niedzielą 26 czerwca 1983 r. Wiedząc, że na narysowanie projektu mamy tylko nadchodzącą



Projekt ołtarza koronacyjnego wykonany przez arch. Leszka Piławskiego - 26 czerwca 1983 rok (skala 1:100).



Ołtarz koronacyjny przed kościołem w Limanowej.

noc poprosiłem ks. Mariana o odwiezienie do domu, aby jak najprędzej rozpocząć szkice i zakończyć projekt. Efektem nocnej pracy był projekt ołtarza, który po raz pierwszy po 30 latach od jego wykonania publicznie prezentuję na łamach „Echa Limanowskiego”.

Myślą przewodnią do tego projektu była konieczność zadaszenia jak największej powierzchni z uwagą na spodziewaną dużą ilość koncelebrantów. Jednak najważniejszą sprawą było takie ukształtowanie architektury ołtarza, aby figura Matki Boskiej Bolesnej znalazła się w najbardziej wyeksponowanym miejscu.

Główne zadaszenie ołtarza zapewniał jednospadowy dach, który oparty z jednej strony na słupach, a z drugiej na konstrukcji, tworzył strzelistą dominantę w sylwetce całej konstrukcji. Forma tej dominanty przykuwała uwagę i stwarzała idealne warunki, aby na odpowiedniej wysokości umieścić antresolę (półpiętro), która zakończona wspornikiem będzie tym najważniejszym miejscem, gdzie na białym tle stanęła Pieta limanowska. Na półpiętro prowadziły ażurowe schody, które pozwalały swobodnie wynieść Figurę.

Pod Pietą już na głównym poziomie całego założenia było również wyeksponowane miejsce dla kapłana, który głosił kazanie.

Ołtarz, na którym była sprawowana Msza św. był ustawiony na przedłużeniu głównej osi bazyliki: ołtarz główny wewnątrz świątyni, główna brama wejściowa i ołtarz polowy.

Po obu stronach ołtarza pod dachem można było ustawić znaczną ilość krzeseł. Przykrycie dachu ołtarza polowego wykonane było z folii. Był to jedyny materiał, który spełniał wszystkie wymogi: szczelność, szybkość wykonania i jasne rozproszone światło pod dachem.

Uroczystość zakończenia powtórnej koronacji Piety na limanowskim rynku odbyła się w bardzo podniosłej i niezapomnianej atmosferze przy udziale tysięcy wiernych, co uwidoczniło jest na zdjęciach z tamtych czasów.

Leszek Pilawski
Fotografia: Zbigniew Dutka

Okupacyjne losy rodziny Reymanów - uzupełnienie

W artykule zatytułowanym „Wspomnienia wojenne” („EL”, nr 216–217, wrzesień – październik 2012), Jan Postawa, opisał wydarzenia związane z przymusową pracą w okresie II wojny światowej w tartaku Salomona Lustiga w Sowlinach - Limanowej. Tartak ten przylegał do ogrodu, gdzie mieści się do dnia dzisiejszego willa „Zacisze” rodziny Reymanów.

Czytając z uwagą artykuł, zwróciłem szczególną uwagę na akapit dotyczący aresztowania przez gestapo jednego z braci Reymanów (mojego wuja) w bliskiej tartaku willi.

W artykule tym napisano: (...) *W biurze tartaku został zatrudniony młody człowiek, byłem przekonany, że jest to polski oficer. Był żonaty. Jego żona pochodziła z Mszany Dolnej. Pewnej nocy został aresztowany wraz z pobliskim sąsiadem, który jak później się okazało był jednym z braci Reymanów. Rodzina Reymanów mieszkała w pobliskiej willi usytuowanej w ogrodzie tuż obok tartaku. Obaj znaleźli się na tzw. liście i zostali rozstrzelani z grupą Polaków w Kasinie Małej(...).*

Pragnę więc przekazać kilka dodatkowych informacji związanych z tym faktem oraz przedstawić losy rodziny Reymanów w okresie okupacji.

Willę w Limanowej rodzice mojej mamy Ireny Pilawskiej z Reymanów nabyli od wdowy po inż. Krzysztoniu (budowniczy dróg i mostów) w 1934 roku, zamierzając tu się osiedlić. Do czasu wybuchu II wojny światowej willę wynajmowali rodzinie Jana i Apolonii Sułkowskich z synami: Stefanem, Władysławem, Kazimierzem, a rodzina Reymanów mieszkała w Gdańsku w dzielnicy Nowy Port.

Do Limanowej pierwsza przyjechała Bronisława Reyman z najmłodszym synem Bolesławem tuż przed wybuchem wojny w sierpniu 1939 roku. Córki Irena i Cecylia wyjechały z Gdańska już po napaści Niemiec na Polskę 1 września 1939 r. Z Gdańska nie mogły już jechać zwykłą trasą przez Tczew, lecz okrężną drogą przez Gdynię dotarły do Krakowa. W Krakowie były świadkami ciężkich bombardowań przez Luftwaffe pociągów z polskim wojskiem. Z Krakowa do Limanowej mogły pojechać tylko wynajętą furmanką. Podróż ta trwała dwa dni. Po drodze mijały ich transporty Wehrmachtu, a niemieccy żołnierze wołali do obu siostr siedzących w furmance „Mariuszka, Mariuszka!”. Może myśleli, że są już na terenie Rosji.



Tadeusz Reyman przed willą „Zacisze” tuż przed aresztowaniem przez gestapo w 1943 roku.

Tak więc czas wojny rodzina z wyjątkiem jednego z synów Edmunda spędziła w swojej willi w Limanowej. Był on internowany przez bolszewików i po piekle łagrów sowieckich szczęśliwie dostał się z nieludzkiej ziemi z armią gen. Andersa. Końca wojny doznał w Anglii jako pilot myśliwców „Mustang”.

Roman Reyman jako wysokiej rangi urzędnik w tzw. Komisariacie Generalnym w Gdańsku (była to polska placówka



Willa „Zacisze” w Limanowej zakupiona przez rodzinę Reymanów w 1934 roku.



Tadeusz Reyman w mundurze lotnika, Gdynia 1938 r.



Rodzina Reymanów w dniu pierwszej komunii św. Ireny Reyman. Od lewej: Cecylia, Edmund, Bronisława Reyman (matka), Tadeusz, Irena (po mężu Pilawska), Bolesław, Roman Reyman (ojciec). Fotografia wykonana w 1927 roku w Gdańsku.

dypłomatyczna w Wolnym Mieście Gdańsk) został w pierwszym dniu wojny internowany przez Niemców i osadzony w obozie w Stutthof. Szczęśliwie udało się go uwolnić poprzez wymianę dyplomatów niemieckich na polskich. Po wieloletniej tułaczce przez objętą wojną Polskę dotarł szczęśliwie do Limanowej. W obawie o swój los uciekł również z Gdyni do Limanowej dyrektor tamtejszego Państwowego Gimnazjum i Liceum, Józef Niemiec, bliski znajomy rodziny Reymanów. Niestety w Limanowej został aresztowany jako zakładnik i rozstrzelany przez okupanta z grupą Po-

laków w Rdziostowie, 30 czerwca 1944 roku. Po ekshumacji dokonanej w latach czterdziestych i zbiorowym pogrzebie ofiary zostały pochowane na parafialnym cmentarzu w kwaterze wojskowej z I wojny światowej.

Bronisława Reyman po kilku dniach pobytu w Limanowej podjęła decyzję o dalszej ucieczce przed Niemcami na wschód. Wyjeżdża z córkami Ireną, Cecylią oraz synem Bolesławem. Syn Edmund był już jeńcem w Rosji sowieckiej. Los syna Tadeusza był nieznany. Ucieczkę na wschód powstrzymała zdradziecka napaść bolszewików 17 wrze-

śnia 1939 roku. Niezwykłym zbiegiem okoliczności, w miejscu zatrzymania się Bronisława Reyman dostrzegła w kolumnie polskich jeńców prowadzonych przez bolszewików syna Tadeusza. Z Bożą pomocą udało się go z tej kolumny wydostać i wszyscy z wyjątkiem Edmunda wrócili z powrotem do Limanowej. Tutaj zastali już Romana Reymana i jego ojca. To szczęście trwało tylko do roku 1943. Tadeusz zaangażował się w działalność konspiracyjną pod nazwą „Orla Białego”. To było przyczyną aresztowania go przez gestapo w 1943 roku. Jednak gdy gestapowcy przyszli go aresztować, nie było go wówczas w domu i jako zakładnika zabrali młodszego i nieletniego wówczas brata Bolesława. Aby ratować brata, Tadeusz zgłosił się na gestapo w Nowym Sączu, a Bolesław po interwencjach siostr Ireny i Cecylii został zwolniony. Tadeusz Reyman wraz z innymi zakładnikami został rozstrzelany w Kasinie Małej. Wszyscy oni spoczywają w zbiorowej mogile na cmentarzu w Mszanie Dolnej. Z tej mogiły została przywieziona garść ziemi przez mojego brata Andrzeja, która została złożona w grobowcu rodziny Reymanów na limanowskim cmentarzu.

Z opisanej rodziny córka Irena była moją mamą, druga córka Cecylia cicią, a bracia Tadeusz, Edmund i Bolesław wujkami. Bronisława i Roman Reymanowie byli babcią i dziadkiem. Wszyscy spoczywają na limanowskim cmentarzu parafialnym.

Leszek Pilawski
Fot.: arch. rodziny Pilawskich

„Był czas, kiedy byłam tylko numerem”

Sławek Łużny

„Po wojnie poszłam do lekarza i poczułam eter. Dostałam gęsiej skórki i zaczęłam się trząść. Nie bardzo wiedział co ze mną począć. Do dzisiaj nie mogę wyzbyć się snów, w których jestem więźniarką i stoję na apelu w Ravensbrück” (Izabela Rek-Koper).

Na przełomie kwietnia i maja w Miejskiej Galerii Sztuki można było zwiedzać wystawę pn. „I trzeba było żyć... Kobiety w KL Ravensbrück”. Poświęcona była ona pamięci kobiet więzionych oraz poddawanych eksperymentom medycznym w tym obozie. Były w nim traktowane jako tzw. „króliki”, na których przeprowadzano wstrząsające, bestialskie pseudomedyczne doświadczenia. Na ekspozycję składało się 21 współczesnych fotogramów tych Pań, opatrzonych autorskim komentarzem, fragmentami wywiadów, bądź cytatów książkowych poświęconych tematyce obozu i osób tam przetrzymywanych. *Wystawa ta, formalnie skromna, była przejmująca i posiadała w sobie duży ładunek emocji, uchwycony zarówno w portretach tych bohaterek – bo tak trzeba te panie tytułować – jak też w ich wspomnieniach, komentarzach, wypowiedziach. Była świadectwem człowieczeństwa oraz jego braku w nieodległej, bo przecież oddalonej tylko o kilkadziesiąt lat wstecz historii. Cieszy nas, że spotkała się ona z dużym zainteresowaniem i zwiedziło ją dużo osób o różnym przekroju wiekowym - podkreślają organizatorzy z limanowskiej MBP. W wernisażu otwarcia (26.04) wzięli udział m.in.: Barbara Oratowska (kierownik Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem”, kurator wystawy) oraz specjalnie przybyli na tą okazję przedstawiciele Muzeum Więzienia Pawiak z kierownik Joanną Gierczyńską na czele. Barbara Oratowska w trakcie spotkania przedstawiła multimedialną prezentację. Opowiedziała o historii powstania tej wystawy, Paniach, do których ekspozycja ta bezpośrednio się odwołuje oraz ich życiu po koszmarze obozowym, samym obozie w Ravensbrück,*



o tym jak traktowano tam przetrzymywanych i czego się wobec nich dopuszczano. Na zakończenie oficjalnej części wernisażu wyemitowano film dokumentalny, ilustrujący wszystko to, o czym wyżej wspomniano. Zawierał on wypowiedzi Pań odnoszące się do czasu spędzonego w obozie oraz wspomnienia eksperymentów, którym je poddawano; wspomnienia nieraz bardzo konkretne i precyzyjne. I gdy konfrontowało się je z wystawowymi fotogramami tych Pań, ich różnie uchwyconymi obliczami, to ... trudno to opisać, by nie wpaść w banał albo, z drugiej strony, jarmarczny patos. Być może gdzieś na nich, na przykład gdzieś między słowami: „Był czas, kiedy byłam tylko numerem” (Hanna Walczuk) a „Człowiek nie może żyć tylko dla siebie” (Alicja Kubecka), widniejącymi na dwóch fotogramach wystawowych, można próbować zrozumieć i poszukiwać odpowiedzi dla czego „Ludzie ludziom zgotowali ten los” (Zofia Nałkowska).

Wystawa „I trzeba było żyć... Kobiety w KL Ravensbrück” powstała z inicjatywy Barbary Oratowskiej. Otworzono ją 28 września 2010 roku, po 65 rocznicy oswobodzenia obozu. Od 18 września 2011 do 20 maja 2012 roku wystawa ta prezentowana była w Muzeum Więzienia Pawiak. Jej celem – jak podkreśla kierow-



nik tego Muzeum Joanna Gierczyńska – jest: „pokazanie młodemu pokoleniu jak Panie, wówczas kilkunastoletnie dziewczęta, walczyły o godność i wartości w okrutnych realiach obozu Ravensbrück”.

Kobiecego obozu koncentracyjnego Ravensbrück został założony w 1939 roku, z przeznaczeniem dla Niemek, przeciwniczek reżimu faszystowskiego. KL Ravensbrück istniał sześć lat. W latach 1939-1945 więziono 132 tysiące kobiet i dzieci oraz w kilku podobozach około 20 tysięcy mężczyzn i ponad tysiąc niepełnoletnich dziewcząt. Około 92 tysiące istnień w sposób bestialski zamordowano.

Muzyka łączy narody

Iłona Machowicz-Jurowicz

Wizyta uczniów limanowskiej Państwowej Szkoły Muzycznej w Hilpoltstein



Muzyka pokonuje bariery i granice - w kwietniu br. goszczący w Hilpoltstein uczniowie limanowskiej Państwowej Szkoły Muzycznej wystąpili w spektaklu „Brundibár”. *Pomysł wizyty w Niemczech powstał rok temu, podczas pobytu młodzieży niemieckiej w Limanowej - mówi dyrektor PSM Wincenty Curzydło. „Wtedy też odbyła się premiera „Brundibára. W spektaklu uczestniczyli chórzyci oraz orkiestra złożona z uczniów obu szkół. Występ został bardzo dobrze przyjęty, dlatego dyrektor szkoły w Hilpoltstein Burkhard Freimut zaproponował, aby za rok pokazać przedstawienie niemieckiej publiczności.*

Rok przygotowań...

Przygotowania do wystawienia opery zajęły kolejny rok szkolny. *W ubiegłym roku w LDK wystawiliśmy znaczną część opery wspólnie z młodzieżą niemiecką wyjaśnia Halina Dyczek, nauczyciel, dyrygent chóru i realizatorka projektu. W Hilpoltstein zaprezentowaliśmy całość przedstawienia, co wymagało wielogodzinnych, licznych prób, zaangażowania chóru, solistów i orkiestry, prowadzonej przez dyrygent Marię Porębę. Próbę generalną stanowił spektakl dla uczniów szkół limanowskich, wystawiony kilka dni przed wyjazdem.*

Współpraca z niemiecką szkołą w Hilpoltstein trwa od 2001 roku. Młodzież pod kierunkiem opiekunów realizuje projekty edukacyjne służące integracji, dzięki wizytom w Polsce i w Niemczech poznaje kulturę i tradycję obu krajów, zawiera przyjaźnie.

Brundibár na scenie w Hilpoltstein

Niemiecka premiera „Brundibára” odbyła się w hali widowiskowo-koncertowej, wypełnionej miłośnikami muzyki. Byli obecni przedstawiciele Konsulatu RP w Monachium oraz reprezentanci władz samorządowych. Tradycja słuchania koncertów jest w Niemczech bardziej rozpowszechniona niż w Polsce, dlatego licznie przybyli mieszkańcy miasta. Opera została wystawiona w języku polskim (z napisami w języku niemieckim), część partii chóralnych wykonali w ojczystym języku uczniowie z Hilpoltstein. Orkiestrę tworzyli uczniowie obu szkół. Libretto mówiące o walce dobra ze złem, żywa akcja, profesjonalne wykonanie i piękne kostiumy wzbudziły uznanie widzów.

Wystawienie opery połączyło się tematycznie z otwarciem wystawy w Muzeum Schwarzes Ross w Hilpoltstein. Ekspozycja dotyczyła losów dzieci uwięzionych w getcie w Terezynie, gdzie wystawiano operę „Brundibár”. Wśród eksponatów znalazły się notatki, rysunki dzieci, materiały źródłowe ukazujące realia życia w getcie. Inspiracją wystawy stała się książka Hannedore Brenner-Wonschik „Mädchen von Zimmer 28” ▶

► („Dziewczynki z Pokoju 28”), oparta na wspomnieniach małych więźniów. O dramatycznych okolicznościach powstania „Brundibára” można przeczytać w wakacyjnym numerze „Echa” z ubiegłego roku (214-215, lipiec-sierpień 2012 r.). Warto przypomnieć, że operę A. Hoffmeistra i H. Krazy po raz pierwszy wystawiono potajemnie w praskim sierocińcu w 1942 roku. Dzieci z sierocińca deportowano rok później do getta w Terezynie. Tam odbyła się premiera opery w nowej wersji. Spektakl grano 55 razy, był formą ucieczki od tragicznej rzeczywistości.

Podczas pobytu w Niemczech uczniowie gościli w Konsulacie RP w Monachium, zwiedzili centrum miasta oraz wytwórnię filmową, w której powstały filmy „Niekończąca się historia” oraz przygody Asterixa.

Pobyt w Niemczech pozostawił niezapomniane wrażenia. Wizyta dała możliwość zaprezentowania indywidualnych umiejętności uczniów, podczas wspomnianego wernisazu wystąpili laureaci tegorocznych konkursów.

Rok sukcesów

Obecny rok szkolny przyniósł wiele osiągnięć - mówi z dumą dyrektor Wincenty Curzydło. Są to efekty wieloletniej pracy nauczycieli, współpracy z ośrodkami akademickimi, organizowanych konsultacji i warsztatów. Wysokie nagrody na prestiżowych konkursach i festiwalach stawiają naszą szkołę w czołówce najlepszych w Polsce. Mamy nadzieję, że o tegorocznych laureatach jeszcze usłyszymy.

Przedstawiamy listę sukcesów uczniów PSM w Limanowej:

VI Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny „Mistrz Klawiatury” - **II miejsce Paweł Michalik.**

VII Festiwal Polskiej Muzyki Współczesnej dla Pianistów - **I miejsce Paweł Michalik.**

II Ogólnopolski Konkurs Duetów Fortepianowych „Grajmy Razem” - **III miejsce Anna Wilczek i Natalia Szewczyk, Natalia Trzópek i Dorota Poręba - IV miejsce.**

VI Ogólnopolski Konkurs Interpretacji Utworów Fortepianowych na Cztery Ręce i Dwa Fortepiany **Natalia Trzópek i Dorota Poręba - II miejsce oraz Joanna Pałka i Anna Wygoda - wyróżnienie.**

III Ogólnopolski Festiwal Skrzypcowy „Mały Wiolinista” - **I miejsce Aleksandra Baczyńska.**

XII Ogólnopolskie Prezentacje Miniatur Skrzypcowych - **II miejsce Aleksandra Baczyńska.**

IV Ogólnopolski Konkurs „Włocławskie spotkania skrzypcowe” - **wyróżnienie Agnieszka Michalik.**

Ogólnopolski Konkurs „Mały czy duży wirtuoz” - **II miejsce Agnieszka Michalik.**

VI Ogólnopolski Konkurs Kameralny - **I nagroda Małgorzata Lach i Paweł Michalik, III nagroda Dorota Poręba i Natalia Trzópek oraz Natalia Szewczyk i Anna Wilczek.**

XII Regionalny Konkurs Kształcenia Słuchu - **II miejsce Agnieszka Michalik i Piotr Michalik.**

II Konkurs czytania nut a vista - **II miejsce - Magdalena Kociołek i Jakub Krzyżak, III miejsce Miłosz Bieda.**

VI Wiosenne Spotkania Pianistyczne w Dębicy - **III miejsce Michał Sukiennik, wyróżnienie Joanna Pałka.**

Serdecznie gratulujemy Laureatom i ich Nauczycielom wspianiałych osiągnięć.

Ilona Machowicz-Jurowicz

Poznawać i pamiętać...

Niedzielnny poranek 26 maja br. Z dworca kolejowego w Nowym Sączu wyrusza pociąg Retro. Na peronie oprócz pasażerów przechadzają się żołnierze w mundurach z różnych okresów historycznych: Austriacy z I wojny światowej, Niemcy z czasów okupacji oraz partyzanci. Kilka minut po odjeździe z Nowego Sącza pociąg niespodziewanie zatrzymuje się na stacji w Chelmcu. Niemcy wyprowadzają z wagonów „aresztowanych” podczas kontroli dokumentów pasażerów. Nagle zostają zaatakowani przez oddział partyzancki. Akcji towarzyszą huk wystrzałów i dym z ładunków pirotechnicznych. Inscenizację z zainteresowaniem oglądają podróżni – jest dodatkową atrakcją, której nie wymieniono w programie imprezy „Kolej na Majówkę”.

„Leśni”, którzy przeprowadzili atak na pociąg to członkowie limanowskiego Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych – 1 Pułk Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej. Akcję przygotowali wspólnie z grupami rekonstrukcyjnymi z Nowego Sącza i z Gorlic. Limanowska SRH 1 PSP AK formalnie działa od maja 2012 roku. Zrzesza pasjonatów historii i rekonstrukcji w różnym wieku, pracujących w rozmaitych zawodach. Do ich grona należą: historycy, socjolog, leśniczy, pracownik zakładów „Tymbark”, urzędnik bankowy, przedstawiciel handlowy, budowlaniec, studenci oraz najmłodszy sympatyk – uczeń gimnazjum.



Na planie filmu „Ogień”.

ożywiać historię, przekazać

pasje członków Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych – 1 Pułk Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej.

Forum internetowe i początki stowarzyszenia

Członkowie stowarzyszenia poznali się kilka lat temu dzięki wpisom na forach internetowych. Zainteresowani historią II wojny światowej, szukali informacji o uroczystościach rocznicowych, lokalnych wydarzeniach związanych z okresem okupacji oraz o postaciach partyzantów. W komentarzach wymieniali poglądy, a następnie postanowili się spotkać – ustalili miejsce i termin oraz zamieścili informację w Internecie. Już podczas pierwszego spotkania zrodził się pomysł utworzenia grupy rekonstrukcyjnej.

Szczególną uwagę zwrócili na działalność 1 Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej. „Szukając śladów walk w naszym regionie odnaleźliśmy szereg relacji, dotyczących struktury oddziałów partyzanckich na terenie obwodu limanowskiego. Były to relacje ustne nielicznych żyjących świadków i członków rodzin żołnierzy oraz materiały źródłowe z Archiwum w Nowym Sączu” – mówi Przemysław Bukowiec – wiceprezes stowarzyszenia. „Byliśmy zaskoczeni faktem, że wiedza o 1 PSP AK jest tak mało rozpowszechniona w środowisku. Jest w Limanowej ulica Zygmunta Berlinga, a nie ma ulicy Juliana Krzewickiego – dowódcy II batalionu 1 PSP AK, czy dowódcy Pułku majora Adama Stabrawy „Borowego” – stwierdza Janusz Jurowicz – wiceprezes stowarzyszenia.

„Inicjatywa powołania Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych była bezpośrednio związana z pomysłem organizacji IV edycji Rajdu Szlakami 1 PSP AK” – wyjaśnia Przemysław Bukowiec. „W czasie okupacji na obszarze ziem: nowotarskiej, sądeckiej, limanowskiej i gorlickiej w II połowie 1944 roku zawiązała swą działalność jednostka wojskowa 1 PSP AK. Do tej pory trzy edycje rajdu miały miejsce w rejonie Nowego Sącza, Nowego Targu i Gorlic, brakowało tylko nawiązania do działalności w rejonie Mogielicy i Beskidu Wyspowego, a przecież był to matecznik podziemnego wojska. Dlatego w 2011 roku zwróciłem się do Dawida Golika z krakowskiego oddziału IPN z propozycją zorganizowania rajdu na Limanowszczyźnie. Pomysł poparł wójt gminy Słopnice, Adam Sołtys”. Dla uczestników rajdu szlakami 1 PSP AK, który odbył się w czerwcu 2012 r. zorganizowano spotkanie z synem kapitana Juliana Krzewickiego, Jerzym Krzewickim znanym gorlickim lekarzem.

Ożywiać historię...

Najważniejszym celem stowarzyszenia jest popularyzacja historii. Jego członkowie, zafascynowani działalnością oddziałów partyzanckich oraz postaciami „żołnierzy wyklętych”, pragną swą wiedzę i pasję przekazać innym. Chętnie biorą udział w rajdach edukacyjnych organizowanych dla młodzieży. Uczestniczyli we wspomnianym już wcześniej IV Rajdzie Szla-



Na planie filmu na Kurnytowej Kolibie.



Na stanowisku ogniowym pod Turbaczem

► kami 1 PSPAK, w XIV Złazie Turystycznym na Mogielicy, VII Mazowieckim Rajdzie Szlakami Zgrupowania „Błyskawica” Józefa Kurasia „Ognia”, w III Beskidzkim Rajdzie Szlakami Walk o Niepodległość. Do udziału zostali zaproszeni przez krakowski Oddział IPN: władze samorządowe gmin Słopnice, Lubień i Tokarnia oraz zaprzyjaźnione grupy rekonstrukcyjne. Członkowie stowarzyszenia przygotowali punkty kontrolne dla uczestników rajdów. Przybyłym grupom zlecali zadania sprawdzające wiedzę historyczną, sprawność, umiejętność orientacji w terenie oraz udzielania pierwszej pomocy. Najwięcej emocji wywoływały konkursy strzeleckie z replik broni ASG.

Ważną formą przybliżania historii jest organizowanie tematycznych ekspozycji. Podczas Odpustu Partyzanckiego w Szczawie członkowie stowarzyszenia przygotowali pokaz przed Muzeum 1 PSPAK. Obejmował on uzbrojenie, umundurowanie i wyposażenie partyzantów. Podobną atrakcją dla turystów stanowił „obóz partyzancki”, zbudowany na stokach Mogielicy dla uczestników XIV Złazu Turystycznego. Zwiedzający mieli możliwość zapoznać się z oryginalnym wyposażeniem oddziałów, wyglądem szalaśców partyzanckich, a także oddać strzały z replik broni ASG np. Sten Mk II, StG44, MP40, Mauser k98.

Na zaproszenie wójta gminy Tymbark Lecha Nowaka uczestniczyli w marcu br. w spotkaniu historycznym w Bibliotece Publicznej w Tymbarku, zorganizowanym dla młodzieży i mieszkańców. Tematyka dotyczyła historii tamtejszej placówki AK „Trzos”. Spotkanie miało formę prelekcji, z wykorzystaniem pokazu slajdów i prezentacji multimedialnej. Towarzyszyła mu tradycyjnie ekspozycja.

Odtworzyć realia lat czterdziestych...

Prezentowane podczas spotkań elementy wyposażenia, umundurowania i uzbrojenia zostały zgromadzone przez członków stowarzyszenia. Każdy z nich samodzielnie i na własny koszt wyposażył się w umundurowanie i uzbrojenie. Kompletnie ubiór, wzorowali się na materiałach historycznych, zdjęciach oddziałów partyzanckich, relacjach, a przy zakupie uzbrojenia szukali wskazówek w meldunkach oraz rozkazach dowództwa.

„Szczegóły umundurowania i wyposażenia są uzależnione od okresu okupacji, z którego pochodzą. Na początku lat czterdziestych dominowały ubrania cywilne (swetry z owczej wełny, skórzane buty i kurtki) uzupełniane elementami wyposażenia żołnierzy Wojska Polskiego z września 1939 roku” – mówi Janusz Jurowicz. „W toku działalności zdobywano umundurowanie na Niemczech, które partyzanci cenili ze względu na wygodę i funkcjonalność. Naszywano na nie polskie oznakowania. Można spotkać też w oddziałach partyzanckich umundurowanie austriackie, słowackie ... oraz włoskie. Podobnie wyglądała kwestia uzbrojenia. Pod koniec 1944 roku 1 PSPAK posiadał kilkadziesiąt sztuk kompletnego wyposażenia brytyjskiego Battle Dress, uzbrojenie zrzutowe Sten Mk II, LKM-Bren, granatniki przeciwpancerne PIAT, PM Thompson oraz broń krótką np. Colty, rewolwery Webley.”

Członkowie stowarzyszenia posiadają repliki broni, które dopuszcza polskie prawo. Nabywają też oryginalne wyposażenie z epoki: pasy, lornetki, bagnety, skrzynki na amunicję, rogatywki, furażerki, korzystając ze sklepów internetowych lub zbiorów kolekcjonerskich.

Od rekonstrukcji... do filmu...

Bardzo atrakcyjną formą „ożywiania” historii są inscenizacje (wspomniany atak na pociąg Retro) oraz rekonstrukcje autentycznych wydarzeń. Podczas III Beskidzkiego Rajdu Szlakami Walk o Niepodległość „partyzanci” brali udział w rekonstrukcji pacyfikacji wsi Zawadka, dokonanej jesienią 1944 roku przez oddziały niemieckie. Rajd przygotowała Lokalna Grupa Działania „Klimas” oraz władze gmin Lubień i Tokarnia. Scenariusz rekonstrukcji opracowali organizatorzy.

Członkowie stowarzyszenia wystąpili również w filmie dokumentalnym „Ogień i inni”, w reżyserii Waldemara Wiśniewskiego, przygotowanym dla TVP. Film przedstawiał słynną akcję uwolnienia więźniów aresztowanych przez UB z więzienia św. Michała w Krakowie 18 czerwca 1946 roku. Brawurowy atak na więzienie przeprowadzili żołnierze VI kompanii Zgrupowania „Błyskawica”. Zdjęcia wykonano w centrum Krakowa, w dawnym więzieniu św. Michała (obecnie mieści się tam Muzeum Archeologiczne), w celi nr 9 w „Warszawskiej Lunecie” (przy ulicy Kamiennej) oraz na hali Kurnytowa Koliba w rejonie Ochotnicy, gdzie znajdowała się baza oddziałów partyzanckich. Film wyemitował program 3 TVP INFO w grudniu 2012r.

Odkrycie bezimiennych mogił – Kamionna Jeziernik...

Członkowie stowarzyszenia, w ramach działalności statutowej, zajmują się poszukiwaniem nieznanych miejsc pochówku żołnierzy. Współpracują z Wojewódzkim Konserwatorem Ochrony Zabytków, władzami samorządowymi, oddziałem IPN w Krakowie i Fundacją „Pamięć”. Dzięki relacjom świadków, materiałom dokumentalnym i eksploracji terenu udało im się zlokalizować przy wyciągu Kamionna Jeziernik bezimienną mogiłę żołnierzy niemieckich, zabitych w styczniu 1945 roku przez Armię Czerwoną. Prace ekshumacyjne, prowadzone przez pracowników Fundacji „Pamięć” oraz upoważnionych przez nich członków stowarzyszenia, trwały od 22 do 24 października 2012r. Ciała żołnierzy niemieckich zostały przewiezione do Siemianowic Śląskich i pochowane na cmentarzu wojskowym.

Przygotowanie inscenizacji i rekonstrukcji, organizacja wystaw, pomoc w organizacji rajdów, gromadzenie wyposażenia, a także pogłębianie wiedzy, niezbędnej, aby wiernie odtworzyć realia II wojny światowej – te zajęcia pochłaniają wiele czasu i wymagają bezinteresownego zaangażowania. Wbrew obiegowym opiniom, działalność w stowarzyszeniu „to nie zabawa w wojsko”. To możliwość poznawania i ożywiania historii, ocalania pamięci o nieznanym wydarzeniach i bohaterach. Może dzięki grupom rekonstrukcyjnym nie odejdą w zapomnienie...

Tekst: Ilona Machowicz-Jurowicz
Fotografie: archiwum stowarzyszenia



Inscenizacja ataku na pociąg w Chełmcu - 2013 r.

U góry: Na dworcu kolejowym w Nowym Sączu - pociąg retro.
Obok: Na szlaku rajdu pod Krzyżem Katyńskim z GRH Ogniwocy z Waksmundu.
Poniżej: W drodze do obozu pod Czerwonym Groniem.





Patron limanowskich strażaków

Jan Wielek

Święty Florian - rzymski oficer, poniósł śmierć męczeńską za wiarę. W 304 roku został utopiony w rzece Enns (Anizy) na terenie dzisiejszej Górnej Austrii, w miejscowości Lauriacum (obecnie Lorch). Ciało odnalazła wdowa Waleria. Nad jego grobem z czasem wybudowano kościół i klasztor ojców Benedyktynów, a później klasztor kanoników laterańskich. Stąd też rozszerzał się kult jego osoby. Szybko objął całą Europę. Św. Florian czczony był szczególnie jako strzegący od ognia, co później uczyniło z niego patrona strażaków.

Ikonografia przedstawia go jako rycerza w zbroi dźwigającego w lewej dłoni bojowy sztandar, zaś w prawej konew, z której wylewa się woda gasząca płonącą budowlę. Szczególnie często przedstawiany był to kościół.

Kult św. Floriana dotarł do Polski zaraz z przyjęciem chrześcijaństwa. Wznoszono mu kościoły. Najlepszym przykładem jest Katedra św. Floriana w Krakowie, w której jako wikariusz posługiwał ks. Karol Wojtyła – późniejszy papież Jan Paweł II.

W miastach i miasteczkach zaczęto mu stawiać figury, które miały chronić od wszelkich kataklizmów, szczególnie pożarów. Te były zimą małych miasteczek, w których dominowała zwarta drewniana zabudowa.

Podobnie było również w Limanowej. W 1698 roku wielki pożar zniszczył całe, dobrze już wtedy zagospodarowane miasto. Spłonęły prawie wszystkie budynki mieszkalne, ratusz, kościół, szko-

ła, nowe drewniane obwarowania miejskie z dwoma bramami – sądecką i krakowską. Odbudowa trwała wiele lat. Postanowiono też oddać miasto w opiekę św. Floriana, by chronił je od powtórnej



pożogi. Było to w roku 1868. Data ta jest pewna, bowiem w limanowskim muzeum zachował się ciekawy dokument z tegoż roku noszący tytuł: *Wykaz funduszu św. Floriana statuy w rynku limanowskim*

pod opieką urzędu gminy. Jego treścią są datki pieniężne z rozmaitych źródeł dobrowolne, przeznaczone na upiększenie placu koło statuy św. Floriana..., na światło. etc... . Pierwszym ofiarodawcą był ówczesny burmistrz Brzezina, który wpłacił 1 krajcar, reszta funduszu zebranego tegoż roku, a wynosząca 13 krajcarów i 51 halerzy pochodziła z „małych spraw” – z reszty sumy pozostałej po mszy św. zamówionej na dzień św. Floriana oraz datków wotywnych. „Wyrobnik, który podczas jarmarku do zguby swej 7 krajcarów przyszedł” dla św. Floriana ofiarował 20 halerzy; tyleż ofiarował inny uszczęśliwiony „za znalezione konia” oraz Eugeniusz Rozwadowski za znalezienie krowy. Antoni J. za barana podarował świętemu tylko 10 halerzy, zaś podpisany inicjałami K.G. „za dobry jarmark” – 12 halerzy.

Po stronie wydatków sum funduszowych znalazła się kwota 2 krajcary i 25 halerzy jako zapłata tym, „którzy z puszką chodzili i na mszę św. na dzień św. Floriana zbierali”, 20 halerzy na świece do latarni oraz kosza zasadzenia czterech lipek ozdabiających narożniki ogrodzenia figury. Później zaniechano zapisów – widać, że i sam „fundusz” poszedł w zapomnienie.

Zebrane w ten sposób pieniądze z pewnością nie wystarczyły na pokrycie wszystkich kosztów wzniesienia po-

sagu. Dużą kamienną figurę świętego ze wszystkimi przysługującymi mu atrybutami, umieszczono na wysokim, również kamiennym cokole. Nie znamy wykonawcy tego dzieła. Figurę nadto otoczono solidnym, kamiennym, wysokim na około metr obramowaniem, które uformowane w czworobok wypełniony wodą utworzyło, małą, malowniczą sadzawkę. Ta kompozycja umieszczona została obok istniejącej do dzisiaj studni miejskiej wówczas w zabudowie drewnianej. Z biegiem czasu figurę nakrył rozłożystą koroną rosnący obok kasztanowiec. Widok ten, tak charakterystyczny dla dawnego rynku limanowskiego, mają w swych oczach zapewne wszyscy starsi mieszkańcy miasta. Obecnie tą barwną ilustrację rynku możemy zobaczyć na obrazach limanowskich malarzy, dla których był on inspiracją do tworzenia dzieł malarskich. Najczęściej malował limanowski rynek Tadeusz Ociepka, który zafascynowany dawnym widokiem miasta z jego charakterystycznym klimatem, głęboko zachował go w swojej pamięci z młodości. W styczniu bieżącego roku minęła 35. rocznica Jego śmierci.

W 1874 roku powstała w Limanowej Ochotnicza Straż Pożarna. Należy więc rzeczą naturalną, że strażacy objęli opiekę nad figurą swojego patrona.

Do ich obowiązków należało m. in. zapalenie latarni w każdy wieczór, która była umieszczona na słupie podtrzymującym świętego. Dodajmy, iż do chwili doprowadzenia elektryczności, był to jedyny punkt świetlny na limanowskim rynku.

Figura św. Floriana na limanowskim rynku stała do początków lat 70-tych ubiegłego stulecia. Wtedy to, przy okazji wielkiej przebudowy centrum miasta, przeniesiono ją na przykościelny plac, zwracając ją frontem do ulicy noszącej dzisiaj nazwę Jana Pawła II. Nie jest to ta sama figura. Starą, zmurszałą i mocno zniszczoną zastąpiono nową. Wierną kopię wykonał nowosądecki rzeźbiarz Mieczysław Bogaczyk.

Limanowski święty Florian stoi więc dalej, czuwając wraz ze strażakami nad bezpieczeństwem naszego miasta.

W artykule prezentujemy obrazy Tadeusza Ociepki. (...) *Widzimy tu elementy rynku, których dzisiaj tam nie spotkamy. Oto pomnik św. Floriana otoczony zbiornikiem wodnym na kształt fontanny. Zajmował swe miejsce obok okazałego kasztanowca i drewnianej studni miejskiej. Na dawnym rynku widzimy też ludzi, którzy najwyraźniej sprzedają i kupują drobne płody rolne(...)*. To fragment opisu z Galerii Tadeusza Ociepki, cyklu artykułów, które prezentowaliśmy w „Echu Limanowskim” w 2003 roku, a „oprowadzała” po tej galerii, córka artysty, Małgorzata Palińska.



62. Rozkład jazdy na Kolei żelaznej w okół Tatr,
wedle wykazu z Kwietnia r. 1886 „der Conducteur.“

odleg. kilometr.	Cena		Stacje	Pociągi			Stacje	Pociągi	
	kl. 2	kl. 3							
	centów								
7	15	11	Podgórze . . .	8.28	6.40	11.23	Nowy Sącz . . .	9.44	12.34
9	36	24	Swoszowice . . .	8.50	7.2	11.43	Marcinkowice . . .	10.6	12.59
7	56	40	Skawina . . .	9.10	7.22	12.3	Męcina . . .	10.28	1.21
8	70	50	Radziszów . . .	9.26	7.55	12.31	Pisarzowa . . .	10.45	1.39
7	85	60	Lencze . . .	10.13	8.25	12.58	Limanowa . . .	11.1	1.56
7	100	70	Kalwarya . . .	10.38	8.58	1.23	Tymbark . . .	11.25	2.21
4	120	80	Stronie . . .	10.59	9.27	1.46	Dobra . . .	11.46	2.42
5	135	85	Stryszów . . .	11.16	9.49	2.4	Kasina Wielka . . .	12.5	3.1
9	155	100	Skawce . . .	11.31	10.8	2.19	Mszana Dolna . . .	12.27	3.49
8	165	110	Sucha . . .	11.57	10.35	2.45	Zaryte . . .	12.47	3.49
9	185	130	Sucha . . .	12.30	10.50		Rabka . . .	12.55	3.59
8	205	140	Maków . . .	12.46	11.6		Chabówka . . .	1.1	4.6
10	235	160	Osielec . . .	1.4	11.25		Jordanów . . .	1.28	4.31
			Jordanów . . .	1.23	11.45		Osielec . . .	1.45	4.48
			Chabówka . . .	1.46	12.7		Maków . . .	2.5	5.7

Rozkład jazdy Koleją żelazną.

Rozkład jazdy z roku 1886. Tylko dwa pociągi na dobę, a na linii tylko stacje, bez przystanków.

Zbigniew Sułkowski

Koleją Transwersalną do ...?

Piszę, co piszę na wyraźne zamówienie i temat, w związku z tym, że energiczna grupa ludzi dobrej woli podjęła szereg działań zmierzających do fizycznego zachowania dla dziedzictwa kulturowego linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz.

Bywa, że jakiś wpadły do oka szczegół skupi naszą uwagę na tyle, że skłoni do refleksji odnośnie naszej kondycji tu i teraz, zwłaszcza gdy chodzi o fakt z przeszłości, który zadziwia, rzekłbym, zawstydzająco. Choćby taka drobinka jak stara widokówka z lososińskim kościołem wysłana, od dziś licząc 111 lat temu z Limanowej do Wiednia - wysłana: Limanowa 10. 09. 1902 (stempel) i drugi stempel obok, przybycie na miejsce: Wien 11. 09. 1902.

Dzisiaj podobna „operacja korespondencji” jest oczywiście technicznie możliwa, ale organizacyjnie z pomocą poczty zwyczajnej – nie.

A wtedy, gdy Limanowa zyskała bezpośrednie połączenie kolejowe z Wiedniem, poczta po prostu korzystając z postępu technicznego w 24 godziny dostarczała adresatowi list. Lepsza organizacja pracy – na pewno, ale przede wszystkim chyba inne myślenie.



Włoski marmur, ruiny pierwszego mostu w Dobrej.

Co prawda, nie zawsze i wszędzie. W wydawnym w tymże 1902 r. wydawnictwie monograficznym „Limanowa” Franciszek Bujak zwraca uwagę, że miasteczko mimo istnienia już od kilkunastu lat kolei nie potrafi wykorzystać szansy na wyrwa-

nie się z gospodarczego marazmu, sprawiedliwie stawia też przytyk kolei - jeśli z Limanowej do Mszany Dolnej czy dalej opłaca się bardziej transport towaru furmankami, to czy nie należałoby na rynku lokalnym zrewidować wysokość taryf?



1987 rok. Osobowy między Dobrą, a Kasiną Wielką.



Kapliczka - wotum włoskich budowniczych linii w Tymbarku.

Minać musiało jeszcze parę lat nim dzięki istniejącemu połączeniu kolejowemu ze światem powstała w nieodległych Sowlinach wielka rafineria nafty. Dla Limanowej stanowiło to awans cywilizacyjny i umocnienie pozycji w systemie administracji. Trudno powiedzieć, czy władze miasta miały jakikolwiek wpływ na lokalizację fabryki, prawdopodobnie nie, ale na bieg innych spraw z rafinerią związanych?

Krakowski „Czas” z 24 maja 1911 r. informował: **Rozszerzenie stacji w Limanowej.** *Wskutek znacznie wzmożonego ruchu towarowego w okolicy Limanowej, spowodowanego między innymi powstaniem tamże ogromnych zakładów rafinerii nafty, wybudowanych francuskim kapitałem, zaszła potrzeba dość znacznego rozszerzenia stacji kolejowej w Limanowej. Przed kilku dniami poruszano w prasie krajowej sprawę, przyczem wyrażono obawę, że krakowska dyrekcja kolejowa zamierza ze względów trudności w nabyciu gruntów w Limanowej i innych trudności technicznych, wybudować zupełnie nową stację kolejową w Łososinie, co byłoby dla interesów miasta szkodliwym. Jak się obecnie z wiarygodnego źródła dowiadujemy, odstąpiła krakowska dyrekcja kolejowa stanowczo od zamiaru wybudowania nowej stacji kolejowej w Łososinie, natomiast przystępuje już w najbliższych dniach do znacznego rozszerzenia dzisiejszej stacji w Limanowej (pisownia i stylistyka oryginalne).*

Wiadomość prasowa wymaga komentarza - stacja w Łososinie Górnej, gdzie był już przystanek osobowy na terenie dogodnym dla rozbudowy leżałaby w odległości ok. 1 km od rafinerii, zamiast 3 km z Limanowej i wjazdu z koniecznością nawrotu na spadku ponad 18 promili i powrotną

jazdą do stacji pod górę z popychem na końcu składu. Bardzo to komplikowało normalny ruch na linii. Dodatkowy kłopot i koszty stanowiło „rozszerzenie stacji” w Limanowej, wymagało to skopania na długości kilkuset metrów dość wysokiego stoku. Ale wybrano właśnie ten wariant, bo nie szkodził interesom miasta. Miasta Limanowej. Czy na tym mogło zależeć komuś w Wiedniu lub Krakowie? Czy może wynika z tego przykra prawda, że miejscowa władza o „interes miasta” lepiej potrafiła zadbać w czasach niewoli niż wybrańcy ludu w wolnym kraju?

Owa obrona lokalnych interesów nie była sprawą łatwą. W wyniku ustaleń w monarchii austro-węgierskiej przemysł miał się rozwijać w rdzennej Austrii i Czechach, a Galicja i na wschodzie Lodomeria miały być rynkami zbytu. Dodatkowo dostarczać rekrutów armii i być strefą buforową dla Rosji. Takie zróżnicowanie polityki wewnętrznej dało efekt niezrozumiały – cesarz Franciszek Józef był bardzo niepopularny wśród Czechów przezywających go „starym Prohazką”, natomiast wielką estymą cieszył się u galicyjskich Polaków.

- Takiego okupanta, panie, to już nie będzie! - oświecał mnie z rozrzewnieniem przed laty ćwiliński baca Kołodziej.

Względy militarne, w tym kwestia zaopatrzenia twierdz Kraków i Przemyśl, zdecydowały o budowie kolejowych połączeń Galicji z systemem kolei austriackich, a w latach 1855–61 powstała Kolej Karola Ludwika łącząca Kraków ze Lwowem przez Tarnów i Przemyśl. W 1872 r. Przemyśl zyskał połączenie z Węgrami przez Przełęcz Łupkowską, Zagórz, Chyrow. Drugą linią transkarpacką w Galicji Zachodniej była od roku 1876 Kolej Tarnowsko-Preszowska przez Nowy Sącz i Muszynę.

Kolejna inwestycja tego typu, Galicyjska Kolej Transwersalna, była przedsięwzięciem na wielką skalę – połączeniem zachodnich krańców Galicji z granicą rosyjską na wschodzie (Husiatyn) Nie była to jedna linia kolejowa ciągnięta konsekwentnie od jakiegoś punktu A do B. W zakres tego systemu komunikacyjnego wchodziły też odgałęzienia jak np. Oświęcim – Płaszów (Kraków) czy Sucha – Skawina. Wykorzystywano też odcinki tras powstałych wcześniej. Na swym głównym kierunku Kolej Transwersalna biegła ze Zwardonia, połączonego już z Czadczą na Kolei Koszycko-Bohumińskiej przez Żywiec, Suchą, Chabówkę do Nowego Sącza i dalej ze Stróż przez Jasło i Krosno do Zagórze, a stamtąd istniejącymi już liniami przez Sambor, Drohobycz, Stanisławów do Chryplina, skąd należało zbudować liczący 143 km dystans kolejowy do Husiatyna.

Podsumowując – długość nowo zbudowanych linii C.K. Galicyjskiej Kolei Transwersalnej wyraża się łącznie do zapamiętania liczbą 555 km, całość wraz z już istniejącymi odcinkami 893 km.

A wszystko to powstało w dwa lata (1883–84) z aż... dwumiesięcznym opóźnieniem spowodowanym przez „powódź świętojańską” 1884 r., która dokonała katastrofalnych zniszczeń na zbudowanym już góskim, czyli „naszym” odcinku trasy.

Frapująca jest nazwa „transwersalna”. Dosłownie znaczy to - poprzeczna, rodząc pytanie – do czego? Nie do Karpat, bo właśnie wzdłuż, podobnie w stosunku do Kolei Karola Ludwika jak i biegnącej także przez Limanową Drogi Cesarskiej nr 2.

Więc? Tłumaczą niektórzy, że trasa miała być poprzeczna do kilku linii kolejowych, które miano zbudować, ale jak to bywa, nie zbudowano. A nazwa została, skoro już była. ▶

► Najdłuższym i najtrudniejszym w budowie był dystans transwersalki Żywiec – Nowy Sącz liczący 147 km. Projektantem i kierownikiem robót był tu Polak, inż. Stanisław Rawicz–Kosiński. Wybitny fachowiec, zasłynął później jako budowniczy tras kolejowych w Karpatach Wschodnich – przede wszystkim odcinków Stryj – Beskid i w 1894 r. Delatyn – Woronienka. Ten ostatni doliną Prutu, dzięki rzeki, której bystry prąd uniemożliwiał podobno zamarzanie zimą. Wymagało to budowy kilku tuneli (graniczny pod Przeł. Tatarską 1221 m długości) i kilkunastu mostów i wiaduktów. Rawicz–Kosiński zaprojektował je jako budowle kamienne murowane z włoskiego marmuru. Najokazalszy z nich, w Jaremczu, miał główny łuk rozpiętości 65 m i był największą konstrukcją tego typu na świecie.

Dystans Żywiec – Nowy Sącz aż takim wyzwaniem wykonawczym nie był, niemniej trudności terenowych i związanych z tym ogromem robót inżynieryjnych nie brakło – budowy mostów i przepustów wodnych, murów oporowych i innych zabezpieczeń nasypów i głębokich przekopów, umacniania brzegów rzek i potoków w bliskości torów itp.

Nie brakło też przy robotach na tym odcinku i Włochów, i marmuru. Do najokazalszych budowli inżynieryjnych między Żywcem a Nowym Sączem należał wiadukt w Dobrej nad potokiem Płaskoń i dwoma wiejskimi drogami, 143 m długi i wysoki do 26,5 m. Inż. Rawicz–Kosiński zaprojektował go dość oryginalnie – 7 przęseł stalowych kratownicowych położonych na sześciu podporach uzupełniały od strony Chabówki 3 murowane z białego kamienia łuki, prawdopodobnie owego włoskiego marmuru. Fragmenty wysadzonej w 1945 roku konstrukcji zachowały się do dzisiaj (zdjęcie).

Robotnicy z Italii ... Zatrudniano ich chętnie na budowy kolei c.k. monarchii jako kamieniarzy. Zygmunt Kłosowski – malarz i zbieracz pamiątek z regionu – jest w posiadaniu notatnika – rejestru robót w rejonie Męciny z okresu marzec – sierpień 1884 r. prowadzonego przez nadzorcę, Włocha właśnie. Na liście pracowników – w zależności od miesiąca w liczbie 95 – 138 jest około 30 nazwisk włoskich. Roboty kamieniarsko–murarskiej i na tej linii było dosyć – przyczółki i filary mostów, murowane przepusty wodno–drogowe pod torem itp. Bo gotowych elementów betonowych w tamtym czasie nie stosowano.

Śladem pobytu przybyszów z Włoch na naszym terenie jest posadzony przy stacji w Mszanie Dolnej szpaler egzotycznych sosen, zwanych tu potocznie sycylijskimi i do niedawna, niestety, oryginalna w kształcie murowana kapliczka nieopodal toru w Tymbarku, wzniesiona wg przekazu jako votum przez włoskich robotników.

A we wspomnianym notatniku obok różnych innych da się odcyfrować także nazwiska miejscowe. Transkrypcja jak w średniowiecznej Bulli Gnieźnieńskiej, ale *vivura, tobias, alexis, lupa, wosnach* to oczywiście występujące w tym rejonie do dziś **Wiewióra, Tobiasz, Oleksy, Lupa, Woźniak**. Trzon siły roboczej w ogromie i tempie pracy stanowiły jednak zorganizowane rzesze doświadczonych „bahnarbeiterów”, w galicyjskich wsiach zwanych „barabami” lub „barabiakami”. Budynek zwany „domem barabiaków” zachował się do dziś w Pisarzowej.

Może parę liczb, chyba dla całej inwestycji znaczących – na przestrzeni Chabówka – Nowy Sącz (odcinek ten wyodrębnił się po zbudowaniu w 1899 r. linii Chabówka – Zakopane) zbudowano 206 różnej wielkości przepustów pod tory, 59 małych mostów i 15 dużych, najdłuższy to most na Dunajcu w Nowym Sączu (314 m).

Budowle te są (prócz tych zniszczonych celowo) zadziwiająco trwałe, nawet dostojne, bo w murowanych tunelach niektórych przepustów utworzyły się już wapienne stalaktyty. Nie zdradzę gdzie, to domena przyrody godna akurat oszczędzenia.

Takie też „bandyckie” prawo przyrody, że torowisko, rzadko eksploatowane, szczególnie szybko zarasta zielskiem, co przy mokrej pogodzie jest poważną przeszkodą trakcji.

Parę lat temu zajrzałem do zaprzyżnionej Chabówki, coś akurat dymi, mówią, siadaj z nami, jedziemy na próbę do Dobrej. Jedziemy więc w parowóz i kilka wagonów sprawdzić, jak wszystko się ma przed sezonem jazd pociągów retro ze skansenu na nieczynnej praktycznie linii. Gdy w drodze powrotnej zjeżdżamy na luzie z Kasiny Wielkiej do Mszany, od pobliskiej chałupy jakiś dziadek fachowo wywija w naszą stronę sygnał „Stój!”.

Ja go znam. To stary kolejarz – mówi Marek (mistrz warsztatów) – Pewnie coś zauważył!

I gwizdże „Stój!” do maszynisty. Zatrzymujemy się stosunkowo szybko. Marek rusza wzdłuż toru do owego weterana, który też podchodzi od strony domu. Na-

stepuje dziwna scena mimiczna – Marek zatrzymuje się przed starym dosłownie na dwie trzy sekundy, robi gwałtowny w tył zwrot i szybkim krokiem z dziwną miną wraca do pociągu – Jedziemy!

– O co chodziło? – pytamy.

– Powiedział, żebyśmy uważali, bo tutaj są węże!

I tyle może na ten raz, a cierpliwości nie braknie, to może następnym razem co jeszcze o ludziach i pociągach, i ciekawszych sprawach na tutejszej kolei kiedyś i dzisiaj.

Rozmowa z prezesem Pawłem Szczerbakowem

Zbigniew Sułkowski: Fundacja zajmuje się...

Paweł Szczerbakow: ...fundowaniem napraw historycznych już dziś parowozów, współorganizacją imprez z udziałem parowozów, mówiąc najkrócej, ratowaniem tego, co jeszcze uratować można.

- Jaka w tym rola Skansenu Taboru Kolejowego w Chabówce ?

– Bardzo istotna. W hali naprawczej skansenu urządziliśmy i nadal urządzamy warsztaty napraw głównych parowozów z terenu Polski. Jedyne kotły są remontowane w Pile. Jeden parowóz - Ty42 – został już uruchomiony, dwa następne są w trakcie roboty, w kolejce czeka osobowy Ol49 z Torunia ...

- Kryzys. W połowie lat 90- tych Wolsztyn dysponował kilkunastoma maszynami pod parą, Chabówka miała ich 7, 8. Obecnie ma czynnych 4, wśród nich austriacki Ol12 z 1912 r. Najstarszy czynny parowóz w Polsce. W krajach sąsiednich jest o wiele lepiej.

– I tak jest lepiej niż dwa, trzy lata temu. Skansenowi na zdrowie wyszło przejście przez PKP Cargo z Katowic. Dobrze też sobie radzi obecny naczelnik skansenu. Nie chcę przez to powiedzieć, że za poprzedniego kierownictwa skansen pracował gorzej, bo tak nie było. Ale uwarunkowania się zmieniają. Trzeba się liczyć z realiami. Chabówka ma obecnie cztery maszyny, a jazdy dla nich niewiele, Wolsztyn ma dwa czynne parowozy Ol49, ajazd codziennie byłoby tam na cztery ...

- Gdy zamkną całkiem sztrekę Chabówka – Nowy Sącz, to tutejszej parowozowni ubędzie zasadniczo możliwości roboty.



**Pociąg retro 26 maja 2013 r.
na linii: Chabówka-Limanowa-Nowy Sącz**

Fot. 1: Pisarzowa. Deszcz, mokre porzewiałe szyny – i da się pokonać wzniesienie 25 promil tylko „po kamieniach” - fot. Zbigniew Sulkowski.

Fot. 2-4: Pociąg retro w Limanowej - fot. Stanisław Ociepka.

– „Era Parowozów” jest temu przeciw i popiera rozpoczętą akcją przeciw decyzji o praktycznym zamknięciu linii. Znacznie lepiej byłoby jednak, gdyby znaleźli się klienci choćby dla transportu towarowego na tej linii, czego w ostatnim czasie brakło zupełnie. Ale na najbliższy sezon wakacyjny są zaplanowane specjalne pociągi retro na trasie Chabówka – Mszana Dolna.

Więcej? Jakby ktoś ekstra zamówił, jak te dwie jazdy do Sącza w maju. Albo na plan filmu.

– **I „Parowozjada”...**

– Tak, w sierpniu odbędzie się w Chabówce ósma już „Parowozjada”, z udziałem także lokomotyw z zagranicy; na pewno będzie jedna z Czech, jedna ze Słowacji, może coś jeszcze.

– **Czego Ci życzyć? W latach 80-tych mawiano „Dopóki w kotle żar!”**

– Dopóki w kotle żar!

Z Prezesem Fundacji „Era Parowozów” rozmawiał Zbigniew Sulkowski.





W pierwszej marinie na Lofotach śmierdziało mączką rybną, więc cóż? Płyniemy do następnej.

Za krąg polarny na „łupinkach” ze sklejki

Fotografie: arch. uczestników rejsu

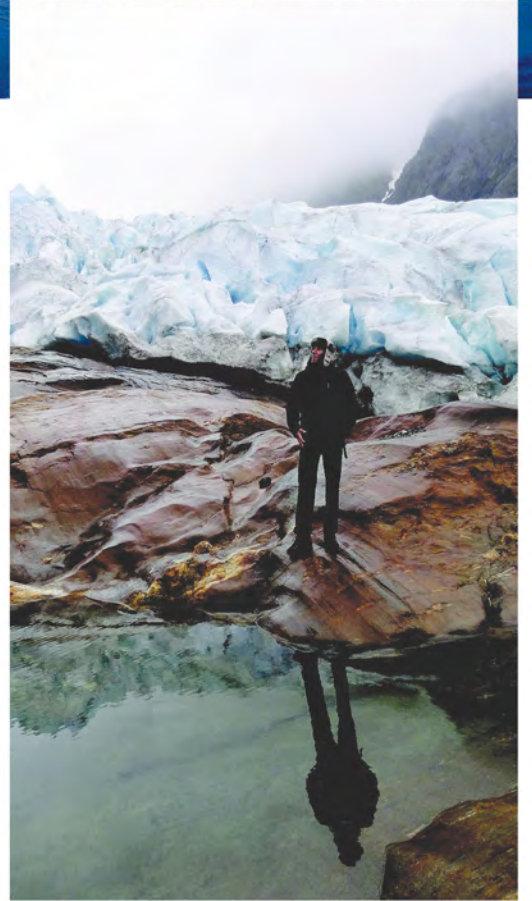


W deszczu i mgłę snujemy się w krainie tysiąca wysp.



Powyżej: Spokój polarnego wieczoru.
Poniżej: Nad fiordami pną się szczyty powyżej tysiąca

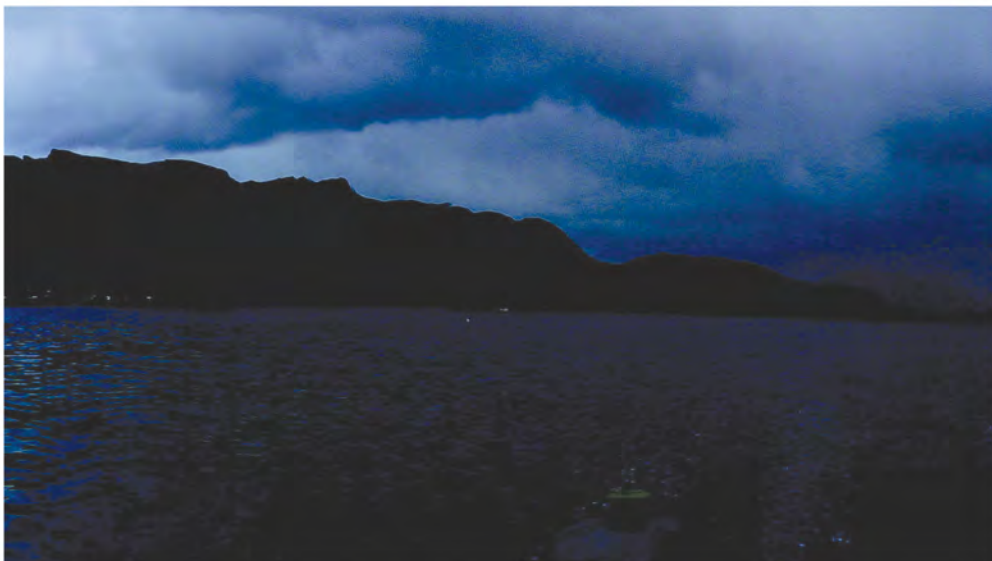




Powyżej: Lodowiec Svartisen, jego czoło leży na wys. 200 m n.p.m.

Poniżej: Nie mogliśmy oprzeć się pokusie obejrzenia „wnętrza” lodowca.

. metrów.



www.szubryt.pl

Szubryt[®]

ZAKŁADY MIĘSNE

*Szukaj serii produktów
jak ze Starej Wsi*

Zakłady Mięsne Szubryt Zbigniew Szubryt
ul. Węgrzynek 50, 33-395 Chelmiec
tel. 18 443 05 60, 18 440 47 67

Po Majówce

Sławek Łużny

„I Majówka Limanowska” – pod taką nazwą między 3 a 5 maja w limanowskim Parku Miejskim odbył się cykl bezpłatnych imprez kulturalno-sportowych. Jak na pierwszą edycję przedsięwzięcia, rozmach organizacyjny oraz program było to naprawdę coś dużego. No i Park Miejski, jako miejsce spotkań mieszkańców i rozrywki (kulturalnej) ożył, jak drzewiej to bywało. Od „Majówki” minęło już nieco czasu. Refleksją i małymi reminiscencjami dzieli się pomysłodawca imprezy – Marcin „Max” Koszyk.

I Majówka Limanowska była polygonem doświadczalnym jeżeli chodzi o powrót imprez plenerowych na teren limanowskiego Parku. Po owocnych rozmowach z burmistrzem miasta zdecydowaliśmy, że od 3 do 5 maja zorganizujemy wspólnie tą imprezę. Burmistrz przeznaczył kwotę 10 000 zł z budżetu miasta na organizację imprezy. Chcąc zapewnić wszystkim mieszkańcom, a także przyjezdnym różnorakie atrakcje zdecydowałem, że te trzy dni podzielimy tematycznie. Dzień pierwszy upłynął pod znakiem muzyki rockowej – zagrały zespoły z Krakowa oraz Limanowej. Koncert poprzedziła parada motocykli, która nadała całej imprezie „pazura”. Pomimo momentami paskudnej wręcz pogody udało nam się zgromadzić dość dużą publiczność. Jak wiadomo rock’n’rollowcom deszcz niestraszny – podkreśla Marcin. Kolejny dzień koncertów to stylistyczna zmiana o 180 stopni. Na scenie pojawili się Jahbestin, Bas Tajpan i Abradab – przedstawiciele czołówki polskiej sceny hiphop/rap/reggae. Wygenerowali tysiące megawatów pozytywnych wibracji, które mniej lub bar-

dziej poczarowały chyba wszystkich zebranych w okolicach „muszelkowej” sceny. Dzień trzeci to prezentacja lokalnych artystów różnorodnej „profesji”. Postawiliśmy na jakość, a nie ilość, więc nie było poganiania na scenie, każdy miał czas się zaprezentować. Trzeci dzień to także kolejna edycja Biegu na 1 Milę, którą organizuje klub Forrest, a także wystawa lokalnych twórców sztuki, dla których zaadaptowałem mur przylegający do starostwa. Okazał się on idealną przestrzenią na taką prezentację. Przez całą „Majówkę” obok Szkoły nr 3 było czynne wesołe miasteczko, a na terenie Parku działały animatorki, można było skorzystać z różnorodnego cateringu oraz innych stoisk. Moim zdaniem Park sprawdził się idealnie jako miejscówka do organizowania plenerowych imprez, ale i jako przestrzeń, gdzie każdy może czuć się bezpiecznie. Przez trzy dni nie mieliśmy żadnej interwencji ochrony ani policji. Mam nadzieję, że kolejne imprezy, które są w planach na okres wakacyjny, dojdą do skutku. Park na dobre ożyje tak jak to było przed laty i będzie koja-



rzony tylko z miłym spędzaniem czasu, koncertami i innymi wydarzeniami kulturalnymi. – podkreśla Max. Na koniec pytamy go o nerwy i stres, nieodłączny przy organizacji tego typu projektów. Pojawiły się siwe włosy? No, te przysłowiowe – owszem (śmiejch). Trzy majówkowe dni były dla mnie maksymalnie stresujące, gdyż miałem na głowie dosłownie wszystko... od przysłowiowego A do Z. Uwierz, nie chodzi mi o zachwalanie swojej osoby i autopromocję, ale dałem radę i przede wszystkim nabrałem całkowitej pewności, że naprawdę można wiele w Limanowej zdziałać. Jestem bardzo wdzięczny władzom miasta za zgodę na organizację, przygotowanie zaplecza w postaci sceny, zasilania i wielu rzeczy w trakcie przygotowań. Dziękuję wszystkim, którzy wsparli „Majówkę” na wiele sposobów – zespołom, firmie nagłośnieniowej i osobom z zaplecza scenicznego, firmie cateringowej, wesołemu miasteczku, ochronie i policji za zabezpieczenie imprezy. No i przede wszystkim publiczności, która dopisała pomimo kapryśnej pogody. Limanowa to naprawdę wspaniałe miejsce... do zobaczenia na kolejnych imprezach – rekapitułuje na koniec Marcin Koszyk.

Nie zdążyłem nawet zagaic go, czy myśli już o drugiej edycji Majówki ... Wielce to jednak prawdopodobne.

Fotografie: Bogdan Skrzekut



Niezapomniany świat baśni i bajek - dziecięcy teatr w Limanowej

Po zakończeniu okrutnej wojny i straconych sześciu latach, trzeba było jak najszybciej przywrócić te wartości, które wiodłyby do normalności i pozwalały mieć nadzieję na lepsze jutro i okazję na budowanie spokojnej przyszłości. Nie było to zadanie proste, bowiem wokół były ogromne wojenne zniszczenia, zarówno materialne jak i moralne. Panował niedostatek i bieda. Był to okres wielu trudnych rozstrzygnięć społecznych i politycznych. Spośród ogromu pojawiających się spraw, jedna wydawała się najważniejszą kwestią w tym czasie. Była to skuteczna pomoc i wsparcie dla młodego pokolenia wchodzącego w nowe życie, osób, które w okresie okupacji doświadczyły wiele złego, bowiem wojna nikogo nie oszczędziła.

Aby skutecznie można było realizować te zamierzenia w roku 1945 zostaje powołany do działalności Powiatowy Komitet Opieki Społecznej w Limanowej na czele z prezesem ks. Władysławem Grzesikiem (administrator parafii limanowskiej w okresie okupacji i zaraz po wojnie) oraz kierownikiem biura Marianem Borzemskim. Dzięki inicjatywie i staraniom wyżej wymienionych osób – wzięto w dzierżawę zupełnie zniszczony wówczas lokal „Przyjaźni”, który odremontowano – dobudowując kuchnię i doprowadzając do stanu używalności. Środki materialne na odbudowę osiągnięto częściowo z subwencji udzielonej przez Wojewódzki Komitet Opieki Społecznej, resztę z dochodów własnych, to jest ze skupu i sprzedaży ziemiopłodów prowadzonych przez PKOS.

Budynek Limanowskiego Stowarzyszenia „Przyjaźni”, organizacji, która swoją działalność rozpoczęła w roku 1897 i kontynuowała ją aż do II wojny światowej, znajdował się przy ulicy Sądeckiej (obecnie Kościuszki). Był to parterowy



Budynek Limanowskiego Stowarzyszenia „Przyjaźń”, w którym po II wojnie mieściła się świetlica.

dom, przylegający do kamienicy państwa Maletów, nazywany kamienicą „Pod Białym Orłem” z racji tego, że na fasadzie budynku znajdował się (jest do dziś) Biały Orzeł. Front budynku „Przyjaźni” był krótką ścianą dość sporej sali widowiskowej ze sceną umieszczoną w głębi, naprzeciw okien. Obok sali widowiskowej i na zapleczu sceny znajdowało się jeszcze kilka małych pomieszczeń, stwarzających warunki do prowadzenia różnorodnej działalności.

Przed I wojną światową siedziba Towarzystwa „Przyjaźń” pełniła rolę kasy dla mieszkańców miasta. Urządzano tam zabawy taneczne i spotkania towarzyskie. Prowadzono też małą bibliotekę wraz z czytelną prasą. W sali „Przyjaźni” odbywały się również liczne zebrania, a także działał amatorski teatr prowadzony przez Franciszka Biedronia – autora wielu sztuk teatralnych. Dla Towarzystwa „Przyjaźń” przed wojną wymalował on pięknie kurtynę z Orłem Białym.



Sztuka wystawiona w plenerze - „Ofiara Hanki”.



Stefania Borzemska (z kwiatami), kierowniczka świetlicy wśród dzieci ze świetlicy - 1946 rok.

łym w centrum oraz herbami większych polskich miast. Występowały tu także przyjezdne kabarety i teatryki.

W tym właśnie budynku „Przyjaźń” już w roku 1946 odbyło się uroczyste poświęcenie i otwarcie świetlicy dla dzieci, którą popularnie nazywano „Cekosiem”. Zakupiono 100 krzeseł, stoliki, szafy, naczynia i kompletne urządzenia kuchenne. Postarano się również o fortepian. Dzięki zabiegom Mariana Borzemskiego otrzymano zezwolenie z Ministerstwa na zakup pianina z ziem odzyskanych. Urządzenie sceny, przygotowanie kurtyny i kulis zostało powierzone Stefanii Borzemskiej. Wykonanie tego zadania nie było proste, bowiem był niedostatek dosłownie wszystkiego, np. kurtynę Stefania Borzemska sporządziła z worków przekazanych przez PKOS, w których organizacja otrzymywała odzież z UNRRA.

Tak urządzony lokal stał się świetlicą środowiskową, jak później się okazało

o bardzo prężnej i bogatej działalności kulturalno-oświatowej dla dzieci, jedynej w Limanowej na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku.

Świetlica ta miała charakter opiekuńczy zwłaszcza dla tych, dzieci które nie miały odpowiednich warunków do nauki w domu. Zarząd Powiatowy Komitetu Opieki Społecznej zawiązał Sekcję Kulturalno-Oświatową, której członkowie mieli obowiązek czuwać nad działalnością świetlicy-opiekować się nią – wspierać radą i pomocą finansową. W skład sekcji wchodził: *Leopold Winter* – urzędujący burmistrz miasta, *ks. Jan Rachwał, Franciszka Ceglarzowa, Wanda Klimkowska, Halina Fleszar, Władysław Bieda, M. Reiss, Maria Steczowicz, Lidia Kwiecińska, Marian Ufniarski, R. Brzezina, Stefania Borzemska, Marian Borzemski.*

Również społeczeństwo limanowskie na miarę swoich możliwości spieszyło z pomocą i radą. Oprócz wymienionych członków PKOS, szczególną troską otoczyli świetlicę nie szczędząc sił i pracy: *Jan Czczótka, Maria Nowakowa, inż. Wincenty Kwieciński, Róża Pikówka, Eugeniusz Dziuba, Maria Czczótkowa, Eleonora Klasurowa, E. Kwiecińska, inż. Dutkiewicz, J. Wielonier, E. Zajic, M. Słoniowska.*

W dniu 7 grudnia 1946 roku świetlica po raz pierwszy powitała dzieci. Odrobiły tam lekcje, otrzymały gorący posiłek, skorzystały z biblioteki. Zapoznały się one również z opracowanym i wyznaczonym programem wszystkich uroczystości, w których miały uczestniczyć.

O tej bogatej działalności limanowskiej świetlicy pisał Stefan Bugajski na łamach „Echa Limanowskiego” (nr 164 –165 maj – czerwiec 2008r.).

Największą wartością w pracy limanowskiej świetlicy była niepowtarzalna i osobiwa działalność związana z przygotowaniem i wystawieniem sztuk teatralnych, znanych i popularnych baśni i bajek, granych przez dzieci uczęszczające na zajęcia. Piękna oprawa plastyczna każdej sztuki teatralnej, bogactwo kostiumów, rekwizytów, charakteryzacja postaci i oświetlenie czyniły, że wszystkie przedstawienia były niepowtarzalnym artystycznym wydarzeniem w Limanowej i na długo pozostawały w pamięci.

Scenografię przygotowywał Marian Borzemski, który był także reżyserem przedstawień, w czym pomagała mu jego małżonka Stefania, pełniąca rolę kierownika świetlicy.

Już w roku szkolnym 1946/47 opracowano sztukę teatralną pt. „Sen Sierotki” – którą wystawiono na scenie w Limanowej cztery razy, zaś w Sowlinach dwa razy, a dochód przeznaczono na akcję pomocy zimowej. Następnie została opracowana sztuka „Ofiara Hanki” – którą wystawiono na wolnym powietrzu. Kolejną sztuką wystawioną w świetlicy była baśń pt. „Baba Jaga”. Jak napisano w kronice świetlicy: *Sztuka trudna – wymaga wielkiego nakładu pracy i dekoracji. I tu przychodzą z pomocą starci, a szczególnie personel PKOS. Marian Borzemski wykonuje dekoracje, inni pracownicy też pomagają w czasie przedstawienia przy zmianie dekoracji i reflektorów. Sztuka ogólnie podobała się i grana była 5 razy w Limanowej.*



Sztuka „Śnieżka”. Od lewej: Śnieżka - Zofia Graniewska, piastunka - Basia Wielonier, służba - M. Mąka, B. Pałka, M. Wiktorek, M. Małka - 1955 rok.



Powyżej: Sztuka „Baba Jaga”.
Poniżej: „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, Marii Konopnickiej.



► W opracowaniu tej sztuki, jak też i w innych działaniach przy świetlicy wielką pomoc okazały M. Reiss i W. Klimkowska.

Bogactwo programu było zdumiewające. Nigdy jeszcze w historii Limanowej nie przygotowano i wystawiono tak dużej ilości sztuk teatralnych dla dzieci i to na tak wysokim poziomie artystycznym jak na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX w. Głównymi inspiratorami tego niepowtarzalnego zjawiska w tych trudnych powojennych latach byli niezapomniani Stefania i Marian Borzemscy, którzy do Limanowej przybyli z Kresów. Pod ich kierunkiem wystawia-

ne były inscenizacje znanych baśni i bajek, takie jak: „O krasnoludkach i sierotce Marysi”- Marii Konopnickiej; „Królowna Śnieżka” i „Kopciuszek” – Jacoba i Wilhelma Grimm, „Królowa Śniegu”- Andersena, „Siedmiomilowe buty” – Jana Brzechwy, „W noc świętojańską”, „Trzewiczki szczęścia”, „O strasznym smoku i pięknej królowinie”, „Baba Jaga” i wiele innych.

Zespół teatralny prowadziła Stefania Borzemska, scenografią zajmował się jej mąż Marian zaś balet i zespoły taneczne przygotowywała Zofia Borzemska, córka Stefanii i Mariana Borzemskich. Chór pracowa-

wał pod kierunkiem Wandy Klimkowskiej.

W pracę zespołu teatralnego angażowały się również matki dzieci uczęszczających do świetlicy. Wykonywały one m. in.: kostiumy, peruki, cizemki, stroje oraz wiele niezbędnych rekwizytów.

Sztuka „Królowna Śnieżka” w pięknej oprawie scenograficznej pobiła wszelkie rekordy wystawiania. Grano ją 18 razy przy stałe wypełnionej sali. Wydział Oświaty opłacił bilety dla dzieci szkół z pobliskich miejscowości, które na przedstawienie przywożono do Limanowej. Były więc dzieci z Sowlin, Łososiny Górnej, Młynego, Laskowej, Mordarki, Starej Wsi, Wysokiego, Tymbarku, Dobrej, Szczyrzyca, Pisarzowej i Męciny.

Ku wielkiej radości dzieci i rodziców ówczesne władze oświatowe w nagrodę za wystawienie wspaniałej sztuki teatralnej zdecydowały o wyjeździe zespołu artystycznego do Krakowa, by tam ten spektakl wystawić. Wyjazd do Krakowa nastąpił 18 maja 1951 roku. Dzieci po przyjeździe do Krakowa umieszczone zostały w Domu Dziecka w Przegorzanych w dzielnicy Zwierzyniec, wraz z towarzyszącymi rodzicami i personelem świetlicy.

Sztukę grano w teatrze „Studio” trzy razy – 19 maja i dwa razy przed i po południu - 20 maja, zawsze przy szczelnie wypełnionej sali.

Sukces był nadzwyczajny.

Ta eksplozja wystawianych wówczas sztuk, wynikała zapewne z pragnień i marzeń o innym lepszym świecie. Rzeczywistość jednak poza salą widowiskową była inna - trudna, szorstka i pełna niepewności. Zapewne dlatego po tylu latach w myślach wielu limanowian pozostał żywy obraz tamtych głęboko przeżywanych chwil, które zapisały się na stałe w pamięci.

Fotografie archiwalne: z kroniki świetlicy

Wspomnienia powstały na podstawie „Kroniki Świetlicy” napisanej przez Stefanię Borzemską – kierowniczkę świetlicy. Kronika ta została przekazana ks. Janowi Rachwałowi. Obecnie przechowywana jest w archiwach limanowskiej parafii.

Ulica Mytki Ilmanowity

Jan Wielek

Kontynuując rozpoczęty w poprzednim numerze cykl artykułów zapoznających mieszkańców Limanowej z patronami ulic naszego miasta, zapraszam na spacer ulicą Mytki Ilmanowity. Mało pewnie kto wie o jej istnieniu – znajduje się bowiem na południowych peryferiach miasta, dostać się na nią można, idąc lub jadąc ulicą Józefa Marka, Sportową; bezpośrednio zaś odchodzi od ulicy Jana Kantego Andrusikiewicza.



Fot. St. Ocieпка

Powstała w latach 70-tych ubiegłego stulecia z przekształcenia istniejącej od dawna polnej drogi prowadzącej „z miasta” do kilku zabudowań gospodarskich i działek powstałych z parcelacji pól dworskich Marsa. Działki z biegiem czasu zostały rozprzedane i wzdłuż drogi, zwłaszcza od jej zachodniej strony, utworzył się ciąg budynków nadający dawnej polnej drodze charakter miejskiej ulicy. Nie spotkamy tu ani zabytków, ani też wyjątkowych budowli. Posłuchajmy zatem ciekawej, moim zdaniem, opowieści o początkach szkolnictwa w Limanowej, z czym wiąże się postać Mytki Ilmanowity, patrona tej ulicy.

Z akt wizytacji parafii limanowskiej w 1595 r. wynika, iż istnieje tu szkoła. Uczył w niej niejaki Wawrzyniec z Łysej Góry, szumnie zwany „rektorem”. Posiadał w miasteczku dom, utrzymywał się z „klerykatury”, czyli opłat składanych przez mieszczan. Od 1604 rokurektorem limanowskiej szkoły był niejaki Jakub Guteius ze Starego Sącza, który pełnił równocześnie obowiązki pisarza miejskiego. Miał on do dyspozycji dom, składający się z izby i sypialni oraz leżący poza granicami miasta ogród, który wdzierzał za 12 groszy. Za podstawę utrzymania służyła mu klerykatura, wynosząca 2 zł 4 grosze i petycja snopowa, składająca się corocznie z około 20 kóp wszel-

kiego rodzaju zboża. Budynek szkolny wymagał reperacji, która według nakazu wizytatora parafii z tego roku miała wykonać gmina, a odpowiedzialność za to miał ponosić ksiądz i wójt.

Ówczesny stan prawny stawiał nauczyciela szkoły parafialnej gdzieś pomiędzy klechą, organistą i pisarzem miejskim. Jego sytuację najlepiej charakteryzuje fragment zapisu do akt wizytacji parafii w Muszynie – czyli miasteczka podobnego do ówczesnej Limanowej, dokonany w 1621 roku przez biskupa Tylickiego: *Kierownik szkoły od 28 lat tu mieszka, biedak i nędzacz, utrzymuje się ze skąpego dochodu, dostając od mieszczan 8 zł rocznie, którzy dobrowolnie, osobiście składają mu tę pensję. Domek ma szczupły, źle pokryty, mały ogródek i nic ponad to. Człowiek prosty, przy nabożeństwie jednak śpiewa w święta w kościele i czasem upija się, ale ubóstwo nie pozwala mu na to za często.*

Teraz przejdziemy do patrona ulicy. Otóż w 1630 roku bohater Sławnej Akademii Krakowskiej Stanisław Mytko Ilmanowita powołuje w miasteczku sześcioposobowy komitet, mający za cel zebranie funduszy na reorganizację ilmanowskiej szkoły, a zwłaszcza pozwalający na utrzymanie nauczyciela z wyższym, akademickim wy-

kształceniem. Założono specjalną księgę, w której miano zapisać datki na ten cel. Pierwszym i zresztą jedynym ofiarodawcą okazał się inicjator tego pomysłu Stanisław Mytko Ilmanowita, który wpłacił w 1630 roku 200 złp, dokładając do tego jeszcze w 1632 roku kwotę 50 złp i w 1633 r. 242 złp, co w sumie stanowiło jak na owe czasy pokaźną kwotę 492 złp.

Kim był ten zacy sponsor? Pochodził na pewno z Limanowej, o czym świadczy jego przydomek „Ilmanowita”. Mytko to jego nazwisko, tak zwali się często mieszczanie ilmanowscy piastujący godność wójta. Był to więc pierwszy limanowianin, który dosłużył się zaszczytnego tytułu profesora Akademii Krakowskiej. Wyjątkowym w skali ogólnopolskiej jest również fakt powołania komitetu mieszczańskiego, którego celem było utrzymanie szkoły i nauczyciela.

Kwota podawana przez Mytkę mogłaby stać się dobrym zaczątkiem na uposażenie limanowskiej szkoły, gdyby nie to, że rada miejska cały ten kapitał rozpozyczyła między siebie na warunkach dziesięcioprocentowej pożyczki. Procent ten miał stanowić kapitał na utrzymanie nauczyciela.

Późniejsze jednak wizytacje parafii i szkoły wykazują, że mieszczanie tego procentu nauczycielowi nie wypłacają. Sprawa została unormowana dopiero w 1639 roku, kiedy ówczesny wizytator parafii, ks. Jan Broniszewski nakazał kategorycznie wypłacić zaległe pieniądze, karząc równocześnie mieszczan podwyżką procentu od wypożyczonych sum. W rezultacie mieszczanie naraz musieli dopłacić do pierwotnego kapitału zaległe procenty i zapłacić łączną sumę 560 złp, ubezpieczając ją na swoich ziemiach. Zobowiązali się również płacić co rok, na „dzień św. Katarzyny” ustalony procent dla bakałarza.

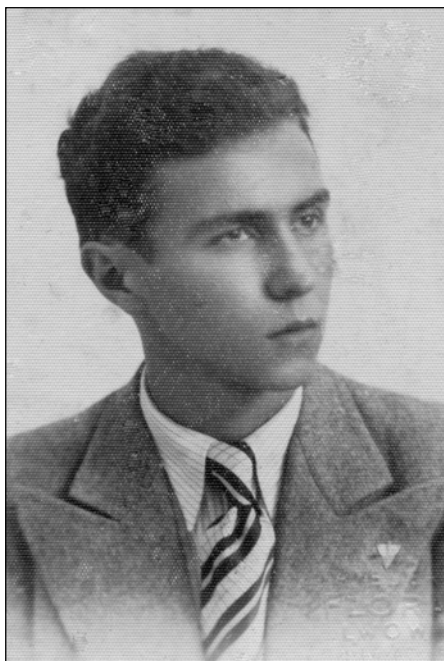
Poprawa nie trwała jednak długo. Sprawę próbował unormować w swych ordynacjach późniejszy właściciel Limanowej – Achacy Przełęcki, ale nie przyniosło to rezultatu. Fundacja Mytki Ilmanowity upada już w połowie XVII stulecia, zaś zupełnie zanika po szwedzkim „potopie”. Nie przetrwała nawet półwiecza. Utrzymała się jednak Szkoła parafialna. Jej tradycje słusznie dzierży dzisiejsza Szkoła Podstawowa nr 1. I dobrze, że nie zapomniano o zacy Stanisławie Mytko Ilmanowicie, nazywając jego imieniem jedną z ulic w Limanowej.

Starosta limanowski w nowo tworzonej Polsce - Zbigniew Fleszar

Stanisław Ociepka

W marcowo – kwietniowym wydaniu „Echa Limanowskiego”, przedstawiliśmy postać Stanisława Alojzego Nowaka – ostatniego starosty II Rzeczypospolitej. W bieżącym numerze dwumiesięcznika prezentujemy Zbigniewa Fleszara, jedyne limanowskiego starostę w nowo tworzonej Polsce po II wojnie światowej, któremu obowiązki pełnienia tego urzędu powierzył minister Administracji Publicznej Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej dr Władysław Kiernik (w latach trzydziestych XX wieku często bywał w Limanowej), znany działacz ruchu ludowego w okresie międzywojennym, bliski współpracownik Wincentego Witosa.

Wraz z wybuchem II wojny światowej 17 września 1939 roku Ziemia Limanowska (ponad 2/3 przedwojennego powiatu limanowskiego) została podporządkowana tworzącym się władzom okupacyjnym powiatu nowosądeckiego. Od tej pory, samodzielna dotąd jednostka administracyjna, jaką do roku 1939 pozostawał powiat limanowski przestała istnieć i stała się częścią okupacyjnego (większego) powiatu nowosądeckiego. Starostą tak utworzonego powiatu z siedzibą w Nowym Sączu, 13 grudnia 1939 r. został mianowany dr Reinhardt Busch, który urząd ten pełnił do końca okupacji. W Limanowej został powołany Wydział Zamiejscowy tego Starostwa (tzw. Komisariat Krajowy – Landkommissariat). Obowiązek landrata tego wydziału pełnili kolejno: dr Georg Kantner, dr Georg Neumann oraz Wiktor Mugge, który pełnił tę funkcję aż do ewakuacji Niemców w styczniu 1945 roku. W samym miesiącu powołano okupacyjny urząd miejski, w którym obowiązki burmistrza powierzono Peigertowi, do wybuchu wojny burmistrzowi w Drohobyczu. Był on spokrewniony przez żonę z rodziną Marsów - limanowskich ziemian.



Zbigniew Fleszar (1917-1981) jako student i starosta limanowski.



Tak było przez całą okupację do czasu, kiedy w styczniu 1945 roku Limanową opuścili Niemcy. Wkrótce po wyzwoleniu Limanowej zaczęto tworzyć nową administrację publiczną miasta i powiatu. Jeszcze w okresie okupacji władze SL „Roch” mianowały na przyszłego starostę dr. Adama Mamaka, znanego działacza ludowego („EL”, nr 218-219, listopad-grudzień 2012 r.). Burmistrzem miasta w tym czasie był Tomasz Bieda, który to stanowisko piastował w latach trzydziestych XX wieku do wybuchu II wojny światowej. Po aresztowaniu Adama Mamaka, z inicjatywy KP PPR, w marcu starostą został Michał Paska a wicestarostą Ludwik Platoń. W początkowych miesiącach czterdziestego piątego roku zmiany na stanowisku starosty były częste. W maju tegoż roku starostą zostaje Franciszek Rzeźniewski z PPS, a już w czerwcu obowiązki starosty przejmuje adwokat Jerzy Kwieciński z SL-PSL. Sytuacja na pewien okres stabilizuje się, kiedy 4 czerwca 1946 roku urząd starosty zostaje powierzony Zbigniewowi Fleszarowi.

W tym czasie zmiany zachodzą również we władzach miasta. Na stanowisko burmistrza Limanowej wybrany zostaje Leopold Winter – długoletni przedwojenny sekretarz Sądu Grodzkiego w Limanowej, który na tym stanowisku pozostaje do 1949 roku („EL”, nr 202-203, lipiec-sierpień 2011 r.). W tym okresie przewodniczącym MRN i jej Prezydium w Limanowej był sędzia Stanisław Krasuń („EL” nr 224-225, maj-czerwiec 2013 r.).

Pierwsze pookupacyjne lata były wyjątkowo trudne, ograniczoność podstawowych towarów w sklepach i pokrycia na kartki żywnościowe, podczas gdy w wolnym handlu za ceny niedostępne dla normalnego pracownika można było nabyć żywność i zaspokoić wszelkie potrzeby. Zniszczenia powojenne, brak wykwalifikowanych kadr urzędniczych, a przede wszystkim niepewny okres zarówno polityczny i społeczny czyniły, że w latach powojennych w tak zwanym okresie politycznie „przejściowym”, pełnienie administracyjnych funkcji lokalnych było rzeczą złożoną.



Helena i Zbigniew Fleszarowie, Lwów 1940 rok.

Jednym z tych, który zdecydował się pełnić urząd starosty limanowskiego w latach 1946–1949 pomimo, że nie zgadzał się z wieloma ówczesnymi decyzjami, był Zbigniew Fleszar. W jego pamięci pozostawało wiele przykrych przeżyć, których rodzina doznała od władzy „wyzwolicielei”.

Jaka jest jego biografia?

Urodził się 15 września 1917 roku wraz ze swym bratem bliźniakiem Jerzym we Lwowie w rodzinie mieszkającej w tym mieście od wielu pokoleń. Ojciec – Eugeniusz Fleszar był urzędnikiem magistratu, a kilka lat przed wybuchem wojny został naczelnikiem jednego z lwowskich więzień, co miało tragiczne skutki po siedemnastym września 1939 roku. Matka – Jadwiga z Teichmanów - zaj-

mowała się prowadzeniem domu i wychowaniem synów, którzy po ukończeniu gimnazjum studiowali prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Dyplom uzyskali w czerwcu 1939 roku. W związku z wadą wzroku zwolnieni byli ze służby wojskowej i nie zostali zmobilizowani. Po wkroczeniu 17 września 1939 r. Armii Czerwonej w granice Rzeczypospolitej jego ojciec Eugeniusz został aresztowany i osadzony w więzieniu św. Brygidy, w którym pozostał do czerwca 1941 r. W tym czasie Zbigniew ożenił się w 1940 r. z Heleną z Janowskich, koleżanką ze studiów z młodszego roku prawa, której nie było dane już ich ukończyć. Brat Jerzy poślubił Stanisławę z Krzyckich, przyszłą poetkę i pisarkę Fleszarową – Muskat (po rozwodzie z Jerzym wyszła za mąż za Muskata w latach 50-tych).

Przez cały okres do wkroczenia Niemców do Lwowa w czerwcu 1941 r. Zbigniew i Jerzy z rodziną co noc oczekiwali NKWD i wywiezienia na Sybir – jako synowie „wroga ludu”. Kiedy Niemcy 21 czerwca otworzyli więzienia, okazały się pełne ciał ofiar trudnych do zidentyfikowania, w wymyślny, bestialski sposób torturowanych przed śmiercią. Najwięcej więźniów, ludności cywilnej, w tym nawet kobiet w ciąży, znajdowało się w więzieniu św. Brygidy i tam synowie z trudem zidentyfikowali zwłoki ojca Eugeniusza, które były straszliwie zmasakrowane. Wycofujący się zbrodniarze z NKWD stawali się nie zostawić nikogo żywego.

Okres okupacji niemieckiej rodzina Fleszarów przeżyła we Lwowie, gdzie 4 listopada 1942 roku urodziła się córka Elżbieta. Kiedy zimą 1944 r. zbliżał się do Lwowa front, synowie Eugeniusza nie

czekali na ponowne wkroczenie sowie-
tów. Jerzy wyjechał z żoną do Częstochowy, gdzie miała rodzinę, zaś Zbigniew i Helena w ostatniej dosłownie chwili z dzieckiem po poważnej operacji szukali schronienia w Limanowej. Tam przed wojną mieszkali Stanisław i Maria Nowakowie z córkami. Rodzina Nowaków była spokrewniona z rodziną Fleszarów po linii Teichmanów (Stanisław Nowak był kuzynem Zbigniewa i Jerzego Fleszarów). Ostatni przed II wojną światową limanowski starosta podzielił los Eugeniusza Fleszara, po aresztowaniu przez NKWD zaginął w Tarnopolu. Żona Maria poszukiwała go do końca swojego życia, bez skutku. Po wielu latach okazało się, że Stanisław Nowak został zamordowany w 1940 roku w Kijowie, spoczął w lasach Bykowskich, gdzie w roku 2012 został poświęcony Polski Cmentarz Wojskowy w Bykowni – Kijowie - czwarty cmentarz katyński, („EL”, nr 222-223, marzec – kwiecień, 2013 r.).

Po zakończeniu wojny Zbigniew Fleszar rozpoczął pracę w administracji państwowej, początkowo jako referendarz Państwowego Urzędu Ziemińskiego w Limanowej (czerwiec –wrzesień 1945 r.) i w tym czasie 8 lipca urodził się w Limanowej jego syn Krzysztof. Następnie 6 września 1945 r. obejmuje kierownictwo Ekspozytury Wojewódzkiego Oddziału Tymczasowego Zarządu Państwowego w Krakowie z siedzibą w Limanowej. W czerwcu 1946 roku minister administracji publicznej, dr Władysław Kiernik, powierzył mu pełnienie obowiązków starosty powiatowego w Limanowej. Urząd ten przejął od dotychczasowego p.o. starosty mecenasa Jerzego Kwiecińskiego, ▶





Zebrań starostów województwa krakowskiego u wojewody dr. Kazimierza Pasenkiewicza (pierwszy z prawej), obok (w okularach) Zbigniew Fleszar - 1947 rok.

► z którym pozostawali w bardzo przyjaznych stosunkach. W lipcu tegoż roku na podstawie wniosku Wojewody Krakowskiego dr. Kazimierza Pasenkiewicza i opinii Powiatowej Rady Narodowej, minister Administracji Publicznej mianuje Zbigniewa Fleszara starostą limanowskim, na którym to stanowisku pozostawał do końca lutego 1949 r. - 12 listopada 1948 r. otrzymał odwołanie z trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Obowiązki przekazał wicestaroście, a w grudniu 1948 roku KW PPR w Krakowie mianował nowego starostę Karola Winiarskiego, który ten urząd sprawował do 1950 roku, kiedy zniesiono urząd starosty, zastępując stanowiskiem przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej.

Powodem odwołania była przede wszystkim nieprawomyślna postawa polityczna, którą demonstrował Zbigniew Fleszar od początku swego pobytu w Limanowej, jako uciekinier ze Lwowa przed represjami sowieckimi. Szczególnie, że po ucieczce synów zamordowanego Eugeniusza Fleszara NKWD po wkroczeniu do Lwowa natychmiast aresztowało ich ciotkę Michalinę Teichman, szwagierkę Eugeniusza, która zdecydowała się pozostać w tym mieście. Została wywieziona do łagru na Uralu, z którego cudem udało jej się powrócić po roku do Lwowa. Razem z siostrą - wdową po Eugeniuszu i ciotką Józefą Teichman w ramach repatriacji przyjechały w 1946 roku do Limanowej. W 1949 r. Józefa zmarła, została pocho-

wana na limanowskim cmentarzu parafialnym i w jej właśnie grobie w 1972 r. Barbara Harassek pochowała swoją matkę, Marię Nowak. Tam również została umieszczona symboliczna tablica epitafijna jej męża, którego zamordowało NKWD. Na tej mogile rodzina złożyła garść ziemi z miejsca mordu Stanisława Nowaka.

Pod koniec 1946 r. przed styczniowymi wyborami 1947 roku nawoływano do występowania z PSL, Zbigniew Fleszar otwarcie sympatyzował z tym stronnictwem i bronił jego członków przed represjami UB. W 1947 r. ówczesny wojewoda krakowski dr. Kazimierz Pasenkiewicz, którego Zbigniew Fleszar ceniał, nakłonił go do wstąpienia do PPS. Gdy w 1948 r. przygotowywano kongres zjednoczeniowy PPR i PPS, starosta limanowski należał do zdecydowanych przeciwników tego procesu. W marcu 1948 r. odbył się Powiatowy Zjazd PPS, na którym wyłoniono nowe władze partii. Naczelnym ich zadaniem było skupienie uwagi na akcji uświadamiającej we wszystkich kołach mających na celu przygotowanie zjednoczenia tych dwóch partii. Z tego powodu PPS w terenie przeżywało kryzys, którego źródeł doszukiwano się w tzw. „słabo wyrobionym aktywie”. Wówczas PK PPS wycofał Zbigniewa Fleszara – starostę powiatowego ze składu „trójki politycznej PPS”. Po dokonaniu wewnętrznej reorganizacji KP PPR w Limanowej zaczął przejmować inicjatywę z rąk – grającej dotychczas pierwsze skrzypce - PPS. Zaczął też „podnosić aktywność członków PPS”, przeprowadzając dla nich szkolenia partyjne, by „zbliżyć ideowo aktywu obu



Na stacji kolejowej w Limanowej. Przyjęcie pociągu z darami UNRRA. Zbigniew Fleszar pierwszy z prawej. Helena Fleszar trzecia z lewej.



Otwarcie Biblioteki Miejskiej w Limanowej na ulicy Orkana. Wstęgę przecina starosta Z. Fleszar, obok (z lewej) S. Ceglarz - inspektor oświaty, z prawej L. Winter - burmistrz Limanowej - 1947 rok.

partii”. Zapowiedziano przegląd szeregów partyjnych, dokonując weryfikacji w celu „wyczyszczenia wrogich elementów z szeregów PPS”. Za takiego uznano zastępcę przewodniczącego PK PPS Zbigniewa Fleszara, którego w następstwie tej akcji w październiku 1948 r. wyrzucono z partii. Zapewne na taką decyzję miał wpływ m. in. fakt, że urzędujący starosta występował w obronie aresztowanych tak swoich pracowników, jak i znajomych, tracąc instynkt samozachowawczy.

Potem wielokrotnie wspominał wyprawę do krakowskiej siedziby UB – jaskini lwa – z „porządnym członkiem PPR” w sprawie aresztowanego współpracownika, gdzie trafił na słynnego później, po jego ucieczce za granicę, majora Światło. Zapamiętał go jako nieciekawego człowieka, który nie wydawał mu się ani zbyt groźny, ani zainteresowany swoją „pracą”. To wszystko nieuchronnie prowadziło do niebezpiecznego zwracania na siebie uwagi zarówno ze strony władzy, jak i przede wszystkim Urzędu Bezpieczeństwa.

W rezultacie został zwolniony ze służby państwowej, jak napisano w piśmie odwołującym. Po usunięciu ze stanowiska starosty, stał się wyraźnym obiektem zainteresowania UB. Musiał ratować się ucieczką z Limanowej, pozostawiając rodzinę. Wyjechał na Ziemię Odzyskaną. Znalazł mieszkanie w Legnicy i pracę jako dyrektor Centrali Ogrodniczej. Jesienią 1949 r. sprowadził rodzinę, a miejsce pobytu miało być do tego stopnia tajemnicą, że córki Elżbiety, będącej wówczas w wieku szkolnym, nie posłano do pierwszej klasy szkoły podstawowej, uczono ją w domu.



Trybuna po północnej stronie rynku w czasie obchodów święta 1 Maja w 1946 roku. Na trybunie stoją: burmistrz Leopold Winter (drugi z lewej), obok Dymitr Łoziński - prezes sądu, Zbigniew Fleszar (szósty).

To wszystko nie uchroniło jednak Zbigniewa Fleszara od aresztowania jesienią 1950 roku. Pozostawał w legnickim więzieniu do kwietnia 1951 roku. Zwolnienie zawdzięczał interwencji brata bliźniaka Jerzego, który był wówczas prokuratorem w Gdyni i kilkakrotnie w tym celu przyjeżdżał do Legnicy. Po wyjściu z więzienia na krótko znalazł zatrudnienie jako pracownik kontroli technicznej w Legnickiej Fabryce Fortepianów i Pianin, skąd został zwolniony i do 1957 r. nie mógł znaleźć żadnej pracy umysłowej. Chcąc podjąć pracę, prawnik z wykształcenia i wieloletni urzędnik państwowy, był zmuszony wykorzystać umiejętności gry na fortepianie, aby zarabiać na życie jako pianista, grywając w kawiarniach w Legnicy, a później kilka lat we Wrocławiu.

Po rehabilitacji w 1957 r. został radcą prawnym i w tym zawodzie pracował zazwyczaj w kilku zakładach naraz w Legnicy i okolicznych miejscowościach aż do emerytury.

W okresie odwilży po 1956 r. Zbigniew Fleszar zaangażował się w założenie w Legnicy Klubu Inteligencji oraz w działalność kulturalną miasta. Był autorem kilku szopek noworocznych, do których pisał tekst i komponował muzykę, a aktorami byli przedstawiciele inteligencji legnickiej. Publikował w czasopiśmie wiersze i teksty satyryczne, jednak, wraz z „uszytwnieniem kursu” przez władzę inicjatywy te zanikły.

W 1968 roku zmarła żona Zbigniewa – Helena. W 1969 roku zawarł ponownie związek małżeński, z tego związku urodziła się córka Monika.

Zbigniew Fleszar zmarł w Legnicy 19 marca 1981 roku.

Wcześniej, jego brat Jerzy zginął w wypadku samochodowym w 1971 r. w okolicach Szczecina, gdzie mieszkał wiele lat, pracując jako adwokat.

Szkic o Zbigniewie Fleszarze został opracowany na podstawie udostępnionych dokumentów oraz przekazanej przez córkę byłego limanowskiego starosty bogatej informacji, a także w oparciu o informacje zawarte w monografii: „Limanowa dzieje miasta”, tom II pod redakcją Tomasza Biedronia.

Wyrażam podziękowanie córce Zbigniewa Fleszara – Elżbiecie Górskiej za przekazanie materiałów i udostępnienie rodzinnych fotografii.

Stanisław Ociepa
Fotografie: arch. rodziny Fleszarów, albumu „Okruchy pamięci”



Poświęcenie motopompy strażackiej w powiecie limanowskim - 1947 rok. Z. Fleszar stoi pośrodku.

Wspomnienie o Władysławie Wietrznym w stulecie urodzin

*My są chłopcy, co się nie boimy,
a jest nas niemało,
kto nam w drodze stanie,
ten dostanie lanie,
aż będzie trzeszczało.*

Tak śpiewali uczniowie pana profesora Wietrznego, maszerując zwartymi czwórkami od budynku Liceum Ogólnokształcącego w stronę mostu nad Sowlinką. Przytupywali przy tym dziarsko, by daleko słychać było ich krok. Nie mieli co prawda odpowiedniego obuwia, bo biedne czasy nie pozwalały na jego zakup, ale sfatygowane buciska podkute blaszkami przed nadmiernym wycieraniem się „fleków” stukały głośno, dodając animuszu chcącej się pokazać męskiej młodzieży niedawno otwartej szkoły średniej.

Chłopcy szczególnie mocno akcentowali krok i wzmacniali pieśń, gdy przechodzili przed Komendą MO, bo kilka razy widzieli nieudolną musztrę „narybku władzy” i chcieli pokazać, że oni robią to „o niebo” lepiej.

Rzeczywiście tak było. Wyszli spod ręki swojego nauczyciela i mistrza p. profesora Władysława Wietrznego, ulubionego pedagoga, dla którego byłiby zdolni zrobić wszystko. Był dla nich wyrocznią człowiekiem bez skazy, który nigdy ich nie zawiódł i dlatego ogromnie go szanowali.

Władysław Wietrzny wywodził się z Limanowej. Urodził się 20 czerwca 1913 r. Ponieważ jego ojciec pracował przed wojną w Rafinerii w Sowlinach, mógł sobie pozwolić na kształcenie syna, który ukończył gimnazjum w Nowym Sączu w 1934 r., potem wychowanie fizyczne na Wydziale Lekarskim UJ w Krakowie, a po otrzymaniu dyplomu podjął pracę w gimnazjum opatowskim na Kielecczyźnie.

Pracę pedagogiczną wnet przerwała wojna. Po kampanii wrześniowej Władysław powrócił w rodzinne strony. Szkoły średnie zostały przez agresora zamknięte i trzeba było postarać się o jakieś inne zatrudnienie, by zdobyć kartę pracy i w ten sposób zabezpieczyć się przed wywózką na przymusowe roboty w Rzeszy.

Został przyjęty do niewielkiego zakładu produkującego w Sowlinach drewniane zabawki zaprojektowane przez młodopolskiego artystę Maksymiliana Brożka i tam przetrwał wojenną zawieruchę.

Przedłużająca się okupacja, represje ze strony wroga spowodowały, że włączył się w działalność konspiracyjną i wal-

czył z najeźdźcą w szeregach Armii Krajowej, oddając jej wielkie usługi jako kurier.

Za pracę w podziemiu trafił na listę osób niebezpiecznych dla władz Rzeszy. Zrobiło się wokół niego tak groźnie, że musiał się ukrywać. Schronienie znalazł w domu państwa Górszczyków w Łososinie Górnej. Tam poznał ich córkę Zofię, a znajomość zakończyła się w okresie powojennym małżeństwem. Los okazał się dla profesora łaskawy - przeżył wojnę.

Naturalnie wojenna przynależność p. Władysława do AK była solą w oku władzy Polski Ludowej, która jakoś musiała to przelknąć. Dobrzy nauczyciele byli poszukiwani, a w Limanowej zorganizowano po raz pierwszy w historii miasta gimnazjum i liceum o kierunkach - pedagogicznym, matematyczno-przyrodniczym i humanistycznym, stąd zapotrzebowanie na pedagogów było duże.

Podjął zatem pracę w tej nowo otwartej placówce, by „krzewić” kulturę fizyczną, podnosić sprawność młodzieży, uczyć relaksu i zagospodarowania wolnego czasu. Oprócz szeroko pojętego wychowania fizycznego prowadził również zajęcia z Przy-



Władysław Wietrzny (1913-1977)

sposobienia Wojskowego w ramach Służby Polsce - przedmiotu wprowadzonego do programu nauczania w szkołach średnich w pierwszych latach trwania nowej rzeczywistości, a potem zlikwidowanego. To się tak łatwo mówi „prowadzić wychowanie fizyczne, podnosić usportowienie młodzieży”, ale żeby to czynić są potrzebne choćby minimalne warunki, baza do realizacji zadań, a tej nie było. Trzeba było ją zbudować własnymi siłami przy pomocy bardzo chętnej do pracy młodzieży.

Przewidujący profesor postanowił najwięcej uwagi poświęcić uczniom najmłodszym, tym, którzy podejmowali naukę w szkole średniej zaraz po ukończeniu podstawówki, a zatem rozpoczynającym nowy rozdział swojego życia we wrześniu 1945 r. Czynił to nie dlatego, że nie cenił starszych roczników, ale zdawał sobie sprawę, że tamci, którym wojna „pogmatwała” los, chcą jak najszybciej nadrobić stracony czas, zdobyć zawód, usamodzielnic się, założyć rodzinę lub poprawić jej byt. Należy bowiem zaznaczyć, że wielu już uczniów miało swoje rodziny. To dla nich, dla tych starszych



Władysław Wietrzny z małżonką Zofią nad potokiem Sowlina.



Rodzina Wietrznych. Władysław i Zofia z dziećmi: Lucyną i Jerzym. Lata 50-te XX wieku.

roczników przygotowano specjalny program nauczania w skróconej wersji pozwalającej zaliczyć dwie klasy w ciągu jednego roku.

Profesor Władysław Wietrzny doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ci dojrzały już ludzie, nie będą w stanie poświęcić za wiele czasu jego przedmiotowi. Dlatego też wybrał najmłodsze roczniki, te, które egzamin dojrzałości zdawały dopiero w latach 1950 - 1951.

To z nimi przygotowywał salę gimnastyczną w budynku „wyczarowanym” przez ówczesną Dyрекcję szkoły na zajęciach lekcyjne.

Pan profesor nie był zbyt wylewny, nie rzucał słów na wiatr, ale wystarczyło kilka krótkich zdań, by chłopcy zrobili wszystko, czego sobie życzył. Pod jego okiem montowali z trudem zdobyte urządzenia, mocowali drabinki, malowali ławy, wbijali haki, przygotowywali magazynek na sprzęt - słowem stwarzali dla siebie i innych warunki do ćwiczeń przewidzianych programem zajęć.

Za tę pomoc, za wspólną pracę profesor pozwalał im dodatkowo ćwiczyć w sali w godzinach popołudniowych lub wieczornych naturalnie pod jego okiem.

Cierpliwie tłumaczył, jak należy ustawić nogi czy ręce, jak odbijać się przed skokiem, ubezpieczać ćwiczącego, by nie doprowadzić do wypadku lub kalectwa. Bacznie obserwował postępy swoich uczniów i już po paru tygodniach nieomylnie orzekał, kto może osiągnąć najlepsze wyniki w określonej dyscyplinie. Wystawiając ucznia na zawody, był pewien jego zwycięstwa. Doskonale przygotowany uczestnik wracał zawsze jako tryumfator. Nie przynosił nagród, bo wówczas prawie nikt ich nie dawał. Wystarczyło słowo, uścisk

dłoni, dyplom lub piłka przeznaczona nie dla uczestnika, lecz dla szkoły. To dopiero znacznie później dawano puchary, które zdobył gabinet dyrektora, a dyplomy - sekretariat.

Gdy uczniowie zdobyli już sporą sprawność fizyczną co jakiś czas, w niedzielę, odbywały się pokazy w sali gimnastycznej. Przychodziło na nie wielu mieszkańców Sowlin, Limanowej i innych miejscowości. Patrzyli i podziwiali umiejętności chłopców. Program był tak ułożony, że uczniowie ćwiczyli sami. Nikt nimi nie dyrygował, nie podpowiadał, co dalej robić, nie wtrącał się.

Profesor stał z boku i obserwował, a oni skakali przez kozła, ćwiczyli na ławeczkach, robili przewrotki na materacach, salta, wspinali się po drabinkach, wykonując niewiarygodne figury zatykające widzom dech w piersiach. Otrzymywali za to od przybyłych nie kończące się brawa.

Najwięcej zbierał ich uczeń Apolinary Lach, który po opuszczeniu limanowskiego Liceum Ogólnokształcącego i ukończeniu Politechniki Szczecińskiej zdobył sławę jako projektant i budowniczy mostów na Czarnym Łądzie i w Kanadzie (Calgary), gdzie do tej pory prowadzi pracownię. Warto zaznaczyć, że wymieniony przez wiele lat pracował jako ochotnik w Górskim Pogotowiu Ratunkowym w swojej drugiej Ojczyźnie.

Wśród ćwiczących wyróżniali się również wówczas Janek Dudek i Józek Garczyński.

Mistrzem w sprincie okazał się Józef Kurczak. Był niezrównany w biegach na 60, 100 i 200 metrów.

Profesor był pewien, że wyniki mógłby mieć jeszcze lepsze, gdyby dysponował nieosiągalnym wówczas obuwem - tzw. kolcami. Ambitny chłopiec w tych bardzo

siemiężnych czasach „poruszył niebo i ziemię” i zdobył owo чудо. Jacyś znajomi rodziców mieszkający na Ziemiach Odzyskanych przysłali mu je w paczce i wówczas Józek stał się klasą sam w sobie.

Kiedy dzisiaj o tym piszę, na nowo przeżywam tamte emocje, bo ze startów kolegi była dumna nie tylko jego klasa, ale cała szkoła. Nikt mu nie zazdrościł, każdy podziwiał.

Warto wspomnieć również o urządzeniu boiska. Był to trawiasty plac, który należało zagospodarować. Pan profesor wykonał plan, zapoznał z nim uczniów, a oni przystąpili do pracy pod okiem mistrza. Chyba żadna brygada nie uporała się tak szybko z wykonaniem.

Wyznaczono wymiarowe boiska do siatkówki i szczypiorniaka, wydzielono teren pod skocznię w dal i wzwyż, utwardzono nawierzchnię i można było prowadzić zajęcia.

Marzeniem chłopców było osiągnięcie dobrych wyników w rzucie dyskiem. Niby prosta rzecz, ale dysk był tylko jeden. Na szczęście pewnego dnia p. profesor powrócił z konferencji i przywiózł kilka lekkich dysków. Wy tłumaczył zasadę posługiwania się nimi, ustawiania ciała, położenia rąk i zaczęły się mozolne ćwiczenia. Na lekcjach brakowało czasu, bo trzeba było realizować inne hasła programu. Uczniowie zaczęli więc ćwiczyć w godzinach popołudniowych.

Pomiędzy boiskiem, a drogą prowadzącą do Rafinerii był pas ziemi uprawianej przez pracowników zakładu, czyli ogródki działkowe, w których rosły ziemniaki, warzywa i trochę kwiatów. To bardzo przeszkadzało w rzutach, ale nie się nie dało z tym zrobić. Chłopcy ustawiali się na skraju boiska i usiłovali przerzucić uprawy, skąd ▶



W ośrodku szkoleniowo-wypoczynkowym Krakowskiego Ośrodka Sportu profesor Władysław Wietrzny w latach pięćdziesiątych XX wieku organizował obozy dla uczniów Liceum Pedagogicznego w Limanowej.

► „obstawa” miała je odrzucić lub odnieść. Niestety, uparty przedmiot łądował najczęściej w ziemniakach i należało się liczyć z pretensjami działkowiczów. Widząc marny wynik uczniowskich zmagani, profesor powiedział: „Chyba musicie na razie zrezygnować z rzutów, aż do jesieni, gdy działki będą puste. Po zbiorach nikt nie będzie miał do was pretensji, bo nic nie zniszczycie. Sami widzicie, że dużo jeszcze zjecie chleba, zanim uda się wam pokonać szerokość działki”.

Nie przestali. Zawzięli się. Nie zjedli tego chleba za wiele, bo za dwa tygodnie każdy z ćwiczących rzucał dyskiem o wiele dalej niż wynosiła szerokość ogródków.

Najdalej rzucali wówczas dyskiem chłopcy - Józef Garczyński i Mietek Sora. Niestety, obydwoj przebywają już ze swoim profesorem w innej krainie. Może tam razem z nim rzucają piłeczką pingpongową lub dyskiem i licytują się, który robi to lepiej?

Profesor Wietrzny był człowiekiem wszechstronnym, ogromnie koleżeńskim. Gdy trzeba było, brał gratisowe wówczas zastępstwa za chorych lub nieobecnych kolegów i nauczał historii, geografii lub „co leciało”.

Troszczył się ogromnie o wpojenie zasad kultury kształcącej się młodzieży. „Obowiązkowo” przed karnawalem na lekcjach wychowania fizycznego uczył „męską brać” tańców towarzyskich, nie szczędząc uwag dotyczących zachowa-

nia się wobec płci pięknej. Uczył praktycznego stosowania zasad *savoir vivre*. W doskonaleniu tańców podopiecznych bardzo się profesorowi przydała umiejętność gry na skrzypcach.

Warto również podkreślić, że p. profesor wspaniale potrafił rozwijać zainteresowania młodzieży np. jazdą na nartach. Początkowo chłopcy byli zdani tylko na własny sprzęt. W 1947 r. udało się uzyskać z Wojewódzkiego Urzędu WF dla sekcji narciarskiej SKS 30 par nart z demobilu po armii niemieckiej. Było to prawdziwe święto sportowe. Profesor

wypożyczył je członkom SKS, a oni z przejęciem brali sprzęt z rąk p. Wietznego. Oglądali go, smarowali zgodnie z sugestiami swego mistrza, a potem zaczęły się zajęcia polegające na doskonaleniu stylu, techniki jazdy i poprawieniu czasu przejazdów.

Pierwsze zawody w konkurencjach alpejskich odbyły się na północnym stoku Lisiej Góry w 1947 r. W 1950 r. zawody niespodziewanie wygrał przed „murowanym faworytem” z Rabki - Zarytego - skromny uczeń 10 klasy Janek Jaro-sik z Lubomierza.



Na Lubogoszczy. Pośrodku stoi Władysław Wietrzny.



Nie spodziewał się takiego sukcesu. Nawet o nim nie marzył, choć kole-dzy zagrzewali go do walki, życząc mu wygranej. Każdy z nich wymyślał sposób „na zwycięstwo”. Przede wszystkim uczestnik zawodów miał być „syty”, a to mieszkańcom stacji nie groziło. Spożył więc cały zapas słoniny przywiezionej z domu na cały tydzień do chleba. Do końca nie wierzył w swoje zwycięstwo, nawet w chwili ogłaszania wyników. Dopiero notatka w Gazecie Krakowskiej zrobiła swoje.

Profesor Wietrzny spotkawszy swego zawodnika na szkolnym korytarzu podał mu rękę i powiedział: Będą z ciebie LUDZIE.

Życie pokazało, że były to prorocze słowa. W latach 1948-1953 profesor Władysław Wietrzny z pomocą uczniów Ogólniaka i Liceum Pedagogicznego dokonał rzeczy nadzwyczajnej. Wybudował w Sowlinach (w okolicy obecnej strzelnicy) 18-metrową skocznię narciarską. Odbyło się tam parę konkursów, lecz ze względu na bezpieczeństwo skocznię zamknięto, ponieważ nad nią przeprowadzono linię wysokiego napięcia. Młodzież „cichaczem” dalej skakała.

Oprócz limanowian na zawody przyjeżdżali chłopcy z Rabki Zdroju, Rabki - Zarytego oraz Zakopanego. Skocznia była czynna przez 5 lat.

Okres powojenny był okresem szczególnym, biednym, w którym wychodziły na jaw ogromne braki i zapóźnienia, ale ówczesne społeczeństwo bardzo chciało „odbić się od dna”. Wierzyło, że

potrafi odrobić straty i pokazać na co je stać. Ta wiara była przemożna i chęci do pracy wielkie. To odnosiło się przede wszystkim do młodzieży. Wystarczyło tylko dobrze jej przewodzić.

Takim właśnie człowiekiem znajdującym wspólny język z młodzieżą był p. Władysław Wietrzny posiadający rzadki dar zapalania w ich sercach chęci do pozytywnego działania dla dobra ogółu. To dopiero potem coś stało się złego, że nazwa „praca społeczna” zaczęła się źle kojarzyć.

W pierwszych powojennych latach po utworzeniu organizacji Służba Polsce młodzież limanowskiego gimnazjum i liceum dokonała w czasie tzw. „koncentracji SP” regulacji potoków - Sowlinki i Mordarki, zapobiegając ich wylewom czy unormowała bieg rzeki Łososiny w Młynem. Zgromadzone przez uczniów przynny kamieni zabierały ciężarowe auta i wywoziły na drogi, by poprawić ich stan. Za celowość wykonanej pracy odpowiadał p. profesor Wietrzny i podolał temu zadaniu, mimo że miał do pomocy tylko młodzież, która czuła, że ten jej wysiłek ma głęboki sens.

Przy okazji warto wspomnieć o wielkiej akcji zbierania złomu, którego wtedy była cała masa. Miało to miejsce w 1950 r. Koordynatorem tego przedsięwzięcia był jak zwykle pan Władysław Wietrzny, a wykonawcami uczniowie Liceum Pedagogicznego.

Wszystko było już obmyślane, a Punkt Skupu Złomu mieszczący się koło stacji kolejowej czekał na dostawców. Młodzież liceum ruszyła do pracy.

Dowozila wózkami różne żelastwo wierząc, że huty na nie czekają.

Koło budynku pełniącego rolę internatu stał relikwiarz II wojny światowej - spory kawałek czołgu z opancerzeniem i lufą z zaklinowanym pociskiem. Nikt wcześniej przez te parę powojennych lat nie pomyślał o tym, by usunąć tę niebezpieczną pamiątkę. Profesor nie przewidział też tego, że chłopcy wpadną na genialny pomysł usunięcia właśnie tego złomowiska.

Tymczasem uczniowie kierowani przez swego znacznie starszego kolegę Józka Paradowskiego postanowili usunąć zawalidrogę. Wypożyczyli od gospodarza wóz tzw. „gnojarkę” i przedziwnym sposobem (czołg był bardzo ciężki), załadowali na niego „ostańca”, a potem siłą własnych mięśni zawieźli na skup. W tym wyczynie wzięło udział wielu chłopców, bo ciężar był olbrzymi.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Profesor miał zamiar mocno zrugać swych podopiecznych, ale było już po fakcie. Ograniczył się więc tylko do krótkich słów przypominających o odpowiedzialności za siebie i innych. Po reformie oświaty i upaństwowieniu prywatnych szkół w maju 1950 r. p. profesor Wietrzny nie uczył już w Liceum Ogólnokształcącym. Jego dawni uczniowie nie mogli się z tym pogodzić, ale na to nie było rady. Profesor otrzymał etat w Liceum Pedagogicznym i przygotowywał do pracy przyszłych nauczycieli. Równocześnie prowadził działalność sportowo-szkoleniową w ośrodkach na Snieżnicy, Lubogoszcy, Przesiece, Pyzówce i w Rytrze. ▶



Na boisku przed budynkiem Liceum Ogólnokształcącego w Sowlinach. Koniec lat czterdziestych XX wieku.

Dokładał wszelkich starań, by zdobyć pieniądze niezbędne na remonty tych zaniedbanych przez wojnę obiektów.

Pomagał budować boiska sportowe, zdobywać potrzebne tereny rekreacyjne, urządzać zawody sportowe - biegi, marszobiegi. Organizował wycieczki krajoznawcze, a w ramach kierowania hufcami „Służba Polsce” uczył poszanowania munduru, godła narodowego i etosu pracy. Wierzył w powstanie wielkiej i silnej, pięknej Polski. ... *Dalej z nami fundamenty kładź pod gmach Polski nowy. Maszeruje rozśpiewana brać, przyszłości szlak tęczyowy.* Był pewien, że należy zachęcać przykładem młodzieży do pracy dla przyszłości i ona mu wierzyła śpiewając: „Zbudujemy taką Polskę, zbudujemy taki świat, w którym wszystko będzie lepsze, w którym nowy będzie ład. Zbudujemy taką Polskę, zbudujemy taki kraj, w którym wszystko będzie lepsze, w którym wszystko będzie NAJ. Najpiękniejsze miasta, najpiękniejsze wsie. Zbudujemy Polskę taką jak we śnie”. Starał się pomagać uczniom mającym trudności finansowe. Zabiegał o dotacje potrzebne na pokrycie ich pobytu na obozach sportowych, które oprócz poprawy tęczyzny fizycznej, owocowały pogłębieniem więzów koleżeńskich trwających potem przez całe życie.

Kiedy został wizytatorem metodykiem w Powiatowym Ośrodku Doskonalenia Kadr Oświatowych, dzielił się z nauczycielami swym bogatym doświadczeniem. Doradzał, co należy czynić, by podnieść sprawność fizyczną uczniów, jak przykładem zachęcić młodych do uprawiania wybranego sportu nie tylko

w szkole, lecz później w dorosłym życiu. Nauczyciele, często jego poprzedni wychowankowie, wielce sobie cenili spotkania z profesorem, którego traktowali nie jak swego zwierzchnika, lecz przyjaciela.

Pan Władysław Wietrzny był nie tylko wspaniałym pedagogiem, lecz także oddanym kolegą. Doceniło to grono nauczycielskie Liceum Pedagogicznego i Szkoły Ćwiczeń i wybrało go jednogłośnie na prezesa Ogniska ZNP. Koleżeńskie spotkania w „Ognisku” były swoistym świętem, odskocznią od codzienności. Wspólne rozmowy, ustalenia, czasem krótkie wycieczki, pomoc w bardzo osobistych sprawach stwarzały dla wielu członków prawdziwy azyl, w którym w trudnych chwilach można było znaleźć pomoc.

Pan Władysław pamiętał także o nauczycielach - seniorach. Zapraszał ich na wspólne spotkania z czynnymi pracownikami, by nie czuli się zapomniani, odrzuceni i występował o odznaczenia państwowe za ich wcześniejsze dokonania.

Kiedy w 1975 r. podjął decyzję o przejściu na emeryturę, było to dla jego kolegów wielkim zaskoczeniem, bo nie wyobrażali sobie, by tak energiczny człowiek mógł wyłączyć się z czynnej pracy. On jednak nie zmienił zdania. Potem, będąc już na emeryturze, zaangażował się jeszcze w koordynację bezpiecznego przewozu dzieci i młodzieży na specjalistyczne badania, które prowadziła Akademia Wychowania Fizycznego w Krakowie. Badaniem objęto 17 szkół z powiatu limanowskiego. Była to tzw. „Próba Limanowska”. Uczelnia nazwała ją „Eksperymentem Narciarskim”. Nauczycielom, którzy wyrazili zgodę na prowadzenie poszerzo-

nego programu WF pomagali w zaopatrzeniu w sprzęt pracownicy Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego.

Pan profesor Wietrzny pełnił funkcję pełnomocnika rektora AWF i był odpowiedzialny za łączność między działaniami praktycznymi, a badaniami naukowymi.

Nie doczekał się jednak zakończenia „EKSPERYMENTU”. Odszedł niespodzianie w czerwcu 1977 r. Po bardzo pracowitym życiu spoczął na cichym cmentarzu w Łososinie Górnej. Jego zasługi dla sportu, a przede wszystkim dla ludzi są nieocenione.

Jego uczniowie, którzy noszą już na swych barkach sporo lat, wspominają go zawsze ciepło i z nostalgią. Chcieliby na dłużej zatrzymać jego „ślad” na Limanowszczyźnie. Wychował przecież tylu młodych ludzi, tchnął w nich ducha sportowego, a za kilka lat, może już nikt nie będzie o nim pamiętał.

Smutne. Bardzo smutne.

Jeden z jego wychowanków i fanów - Jan Dudek zabiegał o nazwanie Ronda na skrzyżowaniu ulic - Tarnowskiej z Łososińską - imieniem Profesora Władysława WIETRZNEGO, niestety, bezskutecznie.

Może znajdzie się jakieś inne miejsce lub obiekt godny nosić nazwę tego WIELKIEGO PEDAGOGA?

Fotografie: arch. rodziny Wietrznych, albumu „Okruchy pamięci”

Ogromnie Dziękuję za podzielenie się swoimi wspomnieniami o Panu Profesorze Władysławie Wietrznyim moim Kolegom - Jankowi Dudkowi i Jankowi Jarosikowi.

Był wierny Kresowej Ojczyźnie - Stanisław Trojanowski

Ilekoć spoglądam z okien mojego domu „Pod Górą” (ul. Leśna), na wzgórze Lipowe, na szczycie którego znajduje się stary lipowy park otoczony zdziczałym głogowym żywopłotem, zastanawiam się, czy nazwa tej wioski nie pochodzi od tego lipowego parku. Wtedy moje wspomnienia podążają do młodości mojej mamy Anny z Trojanowskich, która tam przyszła na świat w 1889 roku, gdzie również urodził się dwa lata wcześniej jej starszy brat Stanisław. Tu razem spędzali swoje najlepsze lata dziecięce. Często powracała do niego pamięcią, pomimo że dom, w którym urodziła się, nie był ich własnością, ale tu się wychowała i dlatego w sercu pozostał jej bliiski na zawsze. Ze wspomnień mamy utkwilo mi w pamięci, jak to obydwójce z wujem, jeszcze jako małe dzieci, bawili się w chowanego pod olbrzymimi schodami, jakie prowadziły na górę (strych) w posiadłości na Lipowym. Pływali w korycie po stawie albo brnąc w śniegu, nosili wodę w konewkach. Ojciec ich, Marcin Trojanowski (1847-1929) przez pewien okres dzierżawił folwark lipowski, należący do probostwa limanowskiego.

Majątek na Lipowym obejmujący 95ha roli i 218ha lasu w roku 1831 zakupił ks. Jan Duszyński, limanowski proboszcz, za fundusze rodzinne od Aleksandra Srokowskiego, dziedzica Lipowego. Aktem notarialnym w 1834 r. wszystkie te dobra ofiarował parafii w Limanowej, z warunkiem: utrzymywania 10 ubogich w szpitalu parafialnym. Pozostałe środki zgromadzone w utworzonej fundacji miały być przeznaczone: dla stałego wikariusza przy parafii 25 złr na kwartał; powiększenie funduszu szkoły i utrzymywanie nauczyciela 40 złr na drewno i opał w szkole oraz książek dla najuboższych dzieci 10 złr.

Kolejny limanowski proboszcz ks. Jan Warpęcha zarobki z majątku lipowskiego spożytkował na potrzeby parafii. Jego następcą Jan Borowski folwark wydzier-



Stary lipowy park, w otoczeniu którego znajdował się folwark na wzgórzu Lipowe. Fot. M. Mamak

zawił Żydowi, a ks. Kazimierz Łazarski, ze dworu Żyda usunął i majątek wynajął Marcinowi Trojanowskiemu, który pochodził ze starej rodziny szlacheckiej.

Jak głosi rodzinny przekaz, jego przodka za przewinienia wysłano na osadnictwo karne w okolice Limanowej do karczowania lasów.

Marcin Trojanowski miał żylkę do oświaty. W swojej wsi pełnił funkcję sekretarza Kółka Rolniczego. W wolnych chwilach w towarzystwie aptekarza limanowskiego, późniejszego wieloletniego burmistrza, Waleriana Wieniawy-Zubrzyckiego, lubił polować na dziką zwierzynę.

Z Katarzyną Drożdżak miał ośmioro dzieci, czterech synów: Antoniego, Franciszka, Jana i Stanisława oraz cztery córki: Marię, Antoninę, Katarzynę i Annę. Najmłodsze jego dzieci, Stanisław i Anna przyszły na świat w majątku na Lipowym.

Spośród czterech synów Marcina Trojanowskiego, najmłodszy Stanisław, po ukończeniu szkoły ludowej w Limanowej został oddany do gimnazjum w Nowym Sączu. Po złożeniu matury w latach zaboru austriackiego, Stanisław opuszcza rodzinne miasto Limanową. Zostaje zatrudniony w Urzędzie Skarbowym na samym krańcu Galicji w Zaleszczykach woj. Tarnopol i tam pracuje do 1939 roku. Po pewnym okresie czasu obejmuje stanowisko

naczelnika tego urzędu. Od tej chwili rozpoczynają się Jego bogate dzieje, pełne oddania polskim Kresom Wschodnim. Intensywnie pracuje zawodowo oraz społecznie. Tworzy Związek Strzelecki, PTTK oraz współorganizuje gniazdo „Sokoła” w Zaleszczykach.

Żeni się Eugenią, która w tym czasie również skierowana została z Rzeszowa do pracy na Kresy Wschodnie. Eugenia i Stanisław Trojanowski mają trójkę dzieci, dwóch synów: Mariana i Tadeusza oraz córkę Krystynę.

Stanisław Trojanowski był kochającym ojcem, równocześnie bardzo wymagającym. W miarę możliwości spełniał prośby „swojej trójki”. Wojna zmieniła losy Jego rodziny.

Kiedy zamieszkał już na stałe w rodzinnej Limanowej, był częstym gościem w naszym domu „Pod Górą”. Zawsze wydawał nam się jakiś smutny, zamyślony, jakby go coś gnębiło, ale nigdy nam się nie skarżył. Często ze sobą przynosił świecę, szedł w kierunku „Chłopskiej Góry”, siadał obok kapliczki Abrama, zapalał ją i długo wpatrywał się w obraz Matki Bożej o niespotykanej dobroci. Jako dorastający chłopiec nie rozumiałem zachowania wuja Stanisława. Kiedy po latach poznałem Jego tragiczne losy, zrozumiałem sens głębokich przeżyć wuja. ►



Stanisław Trojanowski (1887-1959)



Dekoracja S. Trojanowskiego Krzyżem Zasługi w Zaleszczykach - 1933 rok.

► *Jaka była Jego droga życiowa?*

Po upadku monarchii austro-węgierskiej, 1 listopada 1918 roku Ukraińcy ogłosili swoją niepodległość. Zaczęli więc wszystkich polskich działaczy. Stanisława Trojanowskiego uwięzili już 1 listopada 1918 r. W więzieniu przebywał przeszło siedem miesięcy. Został zwolniony przez powracające do Zaleszczyk Wojsko Polskie.

Po zakończonej wojnie polsko-bolszewickiej i zawarciu pokoju w Rydze, Ukraińcy jeszcze bardziej się rozzuchwalili. Twierdzili oni, że za granicami Polski w Czechosłowacji, Rumunii i w Niemczech organizuje się armia ukraińska, która odbierze Polakom ziemię Podola.

W tym czasie posiadacze ziemscy, których majątki zostały zniszczone, zaczęli ziemię sprzedawać lub przekazywać różnym spółkom zajmującym się parcelacją. Wówczas polscy działacze zaczęli nawoływać w prasie, aby z przeludnionych terenów Małopolski chłopci wyjeżdżali na Wschód i korzystali z parcelacji obszarów dworskich. W ten sposób dążono do wzmocnienia narodowości polskiej na Wschodzie. Wielu rolników posłuchało tych wezwań. Sprzedawali swoje małe gospodarstwa bądź pozostawiali krewnym i wyjeżdżali, by nabyć urodzajne czarnoziemi na Podolu.

Stanisław Trojanowski w „Gazecie Podhalańskiej” zapraszał górali, by przyjeżdżali i zakupowali urodzajne ziemie w najcieplejszym klimacie rejonu Polski, jakim był powiat zaleszczycki.

Po tych ogłoszeniach w prasie znaczna ilość chłopów z rodzinnych miejscowości powiatu limanowskiego i nowotarskiego wyjechała na Kresy. Zakupowano grunty podworskie w Worwolińcach, Holihradach nad Seretem, Czerwonogrodzie i innych miejscowościach.

Nowi osadnicy na budowę domów i gospodarczych budynków zmuszeni byli zaciągnąć pożyczki. Zakładano więc koła Związku Podhalan. Miały one na celu udzielanie wzajemnej pomocy. W powiecie zaleszczyckim starostą w tym czasie był Polak. Służył on dużą pomocą nowo przybyłym polskim osadnikom. Po wsiach powstawały Kółka Rolnicze, czytelnie Towarzystwa Szkoły Ludowej. Tworzenie nowej rzeczywistości nie było łatwe, bowiem stosunki polsko-ukraińskie stawały się coraz gorsze. Dla polskich osadników zaczęto stosować bardziej nieprzyjazne posunięcia. Nawet dochodziło do tego, że nowo wybudowane gospodarstwa puszczano z dymem. Miało to na celu nie tylko zahamowanie przyjazdu nowych osadników, ale i zmuszenie do wyjazdu już tutaj osiadłych.

Trojanowski często urządzał spotkania z tamtejszą Polonią. Podtrzymywał ich na duchu. Mówił do nich, że Polska o nich pamięta, że rząd polski weźmie ich w obrotnę. Toteż Polacy za to byli mu wdzięczni.

W 1938 roku dało się wyraźnie odczuć nadejście II wojny światowej. Ukraińcy zaczęli coraz bardziej się odgrażać. 1 września 1939 roku samoloty niemieckie zaczęły zrzucać bomby na Zaleszczyki. Na szczęście nie spowodowały one większych szkód. Do Zaleszczyk przyjeżdżały całe kolumny samochodów z rodzinami wyższych urzędników państwowych i wyższych rangą oficerów, którzy ewakuowali się z polskich terenów okupowanych. Wszyscy oni przekraczali granicę polsko-rumuńską i udawali się do Bukowiny rumuńskiej.

Stanisławowi Trojanowskiemu radzono, aby uciekał wraz z rodziną, gdyż jako urzędnik i działacz szczególnie jest narażony na niebezpieczeństwo ze strony wojsk radzieckich i ukraińskich nacjonalistów. Nie uczynił tego, oświadczył, że wszyscy uciekać nie mogą i pozostał ze swymi rodakami w Zaleszczykach.

Polskie Radio zaczęło donosić, że armia radziecka przekroczyła rzekę Zbrucz i zajmuje tereny polskie. Początkowo myślano, że armia idzie na pomoc naszym wojskom. Rozczarowanie nastąpiło, kiedy zaczęto rozbrajać polskich żołnierzy i wywozić w nieznaną. Krew w żyłach ścinała się na widok tego, co się działo. Często w nocy żołnierze sowieccy wypędzali z domów całe rodziny, bez żadnego dobytku, tylko pozwalając w ciągu krótkiego czasu zabrać rzeczy osobiste. Wszystkich ładowano do bydłych wagonów i wywożono w nieznaną. Najstarszy syn Stanisława Trojanowskiego, Marian (19 lat) został aresztowany przez NKWD za pomoc uciekinierom i wysłany został do obozu pracy przymusowej – Gułagu do miasta Uchta w republice Komi. Tam bardzo ciężko pracował w kopalni i przy wyrębie lasów. Gdy na terenie Rosji organizowana była armia Andersa, wstąpił w jej szeregi. Tym sposobem uratował się i wyjechał do Włoch. Tam rozpoczął studia, a ukończył je w Londynie. Uzyskał dyplom inżyniera i poświęcił się karierze naukowej. Do Polski nigdy nie powrócił. Na stałe zamieszkał w Kanadzie, zmarł w 2001 roku. Młodszy syn Tadeusz (8 lat) uciekł z obozu karnego z Lwowa, przedostał się do Polski i zamieszkał w Limanowej, gdzie była już siostra Krystyna. Tadeusz został inżynierem. Wiele lat pracował w Polsce i na kontraktach za granicą. Córka Krystyna przez 30 lat pracowała w Zarządzie Aptek.



Narada w warsztatach szkolnych Zasadniczej Szkoły Zawodowej „Metalówki”. Stanisław Trojanowski (siedzi) - główny księgowy szkoły, obok Tadeusz Ociepka - dyrektor.

Po wkroczeniu Sowietów na zachodnie Podole, Ukraińcy zaczęli swoje krwawe żniwo. Zaczęli palić całe polskie osiedla. Stanisław Trojanowski widząc co się dzieje, miał wielkie wyrzuty sumienia. Mówił: *To również i moja wina, bo ja tych ludzi zachęcałem, aby tutaj przyjeżdżali. Pewnie by mnie przeklinali.*

Trudne lata okupacji sowieckiej i hitlerowskiej, ciągle zagrożenie ze strony Ukraińców, obawa o los rodziny, przeżycia tylu morderstw dokonanych na rodakach, nadwątlily jego zdrowie. Czuł się źle. Zawsze był smutny i zamyślony. Gnębiły go wyrzuty sumienia, że odradzał osiadłym tam Polakom, aby nie opuszczali tamtych stron i pozostali wiernymi Polsce do końca.

Zginęli z rąk Ukraińców.

Do Limanowej przyjechał wraz z żoną Eugenią w 1945 roku. Zamieszkali w małym domku przy ulicy Orkana (obecnie M.B. Bolesnej), naprzeciw kina, dziś ten dom już nie istnieje. W tym miej-

scu, współcześnie wybudowany został nowy obiekt, w którym mieści się sklep „Plastuś”. W Limanowej podjął pracę w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym (PUR). Całym sercem zaangażował się w tą pracę. Pomagał ludziom przesiedlonym z Kresów Wschodnich, terenów łemkowskich oraz miejscowej ludności w wyjazdach na Ziemię Odzyskaną. Doradzał, wskazywał, gdzie mogą mieć najlepsze warunki do osiedlenia. Po zakończeniu akcji repatriacyjnej objął stanowisko głównego księgowego w Zasadniczej Szkole Zawodowej tzw. „Metalówce”.

Często mówił, że bardzo chciałby powrócić do ukończonych Zaleszczyk, gdzie spędził młodzieńcze lata i tam złożyć swoje kości, wśród pocziwego ludu polskiego. Jednak stało się inaczej. Zmarł 14 lutego 1959 roku w rodzinnej Limanowej i został pochowany na cmentarzu parafialnym przy głównej alei.

Dziś po folwarku na Lipowym, w którym się urodził i spędził najmłodsze lata swojego dzieciństwa, nie ma śladu. Spłonął w grudniu 1914 roku podczas działań wojennych pod Limanową i już nigdy nie został odbudowany. W latach po II wojnie światowej majątek ten został znacjonalizowany. Dzieła zniszczenia dokonano w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Na miejscu dawnego dworu wybudowano szpetne barakowe stajnie i utworzono Spółdzielnię Produkcyjną, która tak naprawdę nigdy nie podjęła tam pełnej działalności. Resztę gruntów wydzierżawiono pobliskim mieszkańcom.

Kiedy w 1970 roku utworzono w Limanowej Muzeum Ziemi Limanowskiej w dawnym dworze Marsów, w majątku na Lipowym planowano zorganizować skansen. Był już przygotowany przez Tadeusza Ociepkę wstępny projekt z piękną wejściową bramą. Niestety, do realizacji tego powiatowego zamierzenia nie doszło, bowiem w 1975 roku powiaty zostały zlikwidowane.

Na wzgórzu Lipowe pozostał tylko stary lipowy i akacjowy park oraz wyrosłe i zdziczałe głogi, które niegdyś stanowiły żywopłot. Jeszcze pozostał dawny staw i mały budynek oraz rozległa łąka wewnątrz parku jakby czekała na coś. Bo miejsce jest piękne i ciche. Tu pozostała cząstka polskości i limanowskiej historii. W ostatnich latach część tego majątku powróciła na własność do limanowskiej parafii.

*Ten zgrzyt, ten stuk
bez końca
stalowych obręczy o szyny
i łomot żelaza
me skronie rozsada
do granic*

*Biała bezkresna pustynia
i brzozy z białymi korami
tak dalej, wciąż dalej
bez końca
tak dalej i dalej, w nieznane*

*Te tory grobami usłane
bez krzyży, bez imion
nam drogich
to cena, że jesteś Polakiem
to cena że byłeś Ojczyźnie
oddany!*

Antoni Mamak

Fotografie:

arch. rodziny Trojanowskich

Artykuł napisano w oparciu o wspomnienia kuzynów: Krystyny i Tadeusza, dzieci Stanisława Trojanowskiego. Korzystano również z monografii „Limanowa – Dzieje miasta, tom I”, pod redakcją Feliksa Kiryka.



Dom przy ulicy Orkana (dziś ul. M.B.Bolesnej), w którym zamieszkał Stanisław Trojanowski po powrocie z Zaleszczyk na Kresach Wschodnich.



BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ

AUTOLOKATA

IX EDYCJA LOTERII

odtwarzacz mp3
CREATIVE

3x

tablet
GoClever

3x

notebook
DELL

3x



Weź udział »

WYGRAJ

CHEVROLET CRUZE

i wiele innych....



W Loterii biorą udział osoby, które od 10.05.2013 r. do 09.08.2013 r. założą lokatę o nazwie „Autolokata” w dowolnej placówce Banku Spółdzielczego w Limanowej. Loteria urządzana jest na podstawie zezwolenia Dyrektora Izby Celnej w Krakowie.

www.bs.limanowa.pl/autolokata



GRUPA
psb

IMPULS[®]

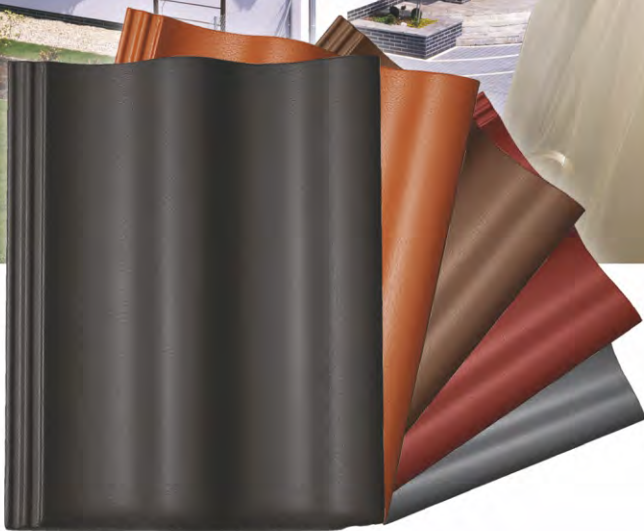
W IMPULSIE MAJĄ

DACHÓWKI

w cenie blachy!!!

Goście poczekają

LECIMY!!!



BRAAS
PEWNY DACH NAD GŁOWĄ

Limanowa, ul. Piłsudskiego 14c, tel.: 18 337 41 27 www.impuls-psb.pl